

# Józef Osik

---

## Henryk Osik – wspomnienia z lat walki i niewoli 1916-1922

---

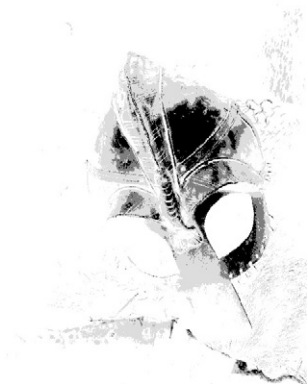
Radzyński Rocznik Humanistyczny 11, 213-242

---

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



**Józef Osik**

## **Henryk Osik – wspomnienia z lat walki i niewoli 1916-1922**

**P**ochodzę z Białobrzeg, najpiękniejszej wsi w całej gminie białobrzezkiej. Ojciec, 10-ciomorgowy gospodarz, był przez długie lata sołtysiem. Przez trzy zimy chodziłem do szkoły. Uczyliśmy się po rosyjsku, a tylko jeden dzień w tygodniu uczono po polsku. Uczył nas Stępień, nauczyciel dobry, ale rękę miał ciężką. Łapy puchły od linii, którą wpajał nam zasady algebry i historii rosyjskiej. Trzeba było znać całą rodzinę cara i to kilka pokoleń wstecz. W chałupie była bieda, najlepszym jedzeniem był chleb z mlekiem. Musiałem trochę podkraść matce jaja czy masło, bo to sprzedawało się Żydom. Jak raz na dwa tygodnie kupili ojciec funt rąbanki na siedem osób, to było dobrze. Jako mały chłopak pomagałem matce karmić świnię, doić krowy, a przy robotach w polu, grabić siano, zbierać zborze czy kopać kartofle.

Często przebywałem u dziadka Macieja Osika w Piaskach (koło Ostrówka). Dziadek, powstaniec styczniowy, człowiek obyty między ludźmi, wiele

opowiadał mi z dziejów historii Polski oraz doli i niedoli chłopów czy panów szlachty. Byłem czarny, gruby i do tego wnukiem Macieja, więc i mnie nazwano Maćkiem i to przezwisko nosiłem przez długie lata.

Mając trzynaście lat byłem już gońcem w gminie, chodziłem z polecenia gminy do sołtysów po wsiach, a nawet i do starostwa w Łukowie. Pamiętam, że jak wybuchła wojna w 1914 r., to przez jedną noc objechałem wszystkich sołtysów w gminie wierzchem na kobyle. Ojciec często jeździli z Żydami na furmance na targi. Wozilo się Żyda z towarem do Ryk, Michowa czy Lubarowa i zarabialo się parę rubli. Później zacząłem jeździć za ojca ja. Na wojnę miałem już swój wóz, konia i jeździłem zarobkowo na swoją rękę. Jeździłem często z rabinem z Kocka do Dębli. Rabin, człowiek wykształcony, opowiadał mi różne rzeczy. Dzięki niemu poznałem historię Polski, rozbiory i to, że za wszelką cenę musimy się wyzwolić. Rabin wozil podejrzaną towar. Dopiero

później przypadkowo poznałem jego tajemnicę. Przewoził broń. Unikał straży kozackich. Później dowiedziałem się od rabina, że gdzieś tam Józef Piłsudski tworzy Wojsko Polskie – Legiony. Pomyślałem, że warto by się przedrzeć do Piłsudskiego i wstąpić do Polskiego Wojska. Zwierzyłem się z tego rabinowi, który powiedział, że w stosownej chwili pomyśli o tym, by mi ułatwić mój zamiar.

Było nas sześcioro dzieci w domu. Ja najstarszy, później Monika, Antek, Weronka, Helena i najmłodszy Józio. Jako goniec w gminie i syn sołtysa nie poszedłem w sałaty, chociaż dużo chłopów wtedy pobrali. Roboty było dużo, handel tzw. szwarc kwitł, a i niejedna żołnierka zapraszała i to nie tylko do roboty, to i zabawić się było można. Chodziłem do Rózi Dula do Giżyc przez Bożniewice. Na Wieprzu była przekładka. W czasie wojny jakiś czas Wieprz stanowił granicę. Austriacy, będący za Wieprzem trzymali tam straż. Jeden posterunek był przy kładce, czasami stał tam Kozak po ruskiej, czyli naszej stronie. Jednej niedzieli poszło nas dwóch do Giżyc. Gdy wracaliśmy w nocy, stał żołnierz austriacki. Liczyło się na szczęście. Jeśli rozumiał po naszemu, to mógł być Polak, Czech, Ukraińiec czy jakiś inny Słowianin, to przepuszczał. Najgorzej było, gdy po niemiecku krzyknął i porozmawiać z nim nie było można. Tak było tym razem. Kolega Felczak, który podszedł do Austriaka, spierał się z nim, w pewnej chwili zepchnął Austriaka z kładki prosto do Wieprza. Żołnierz się nie utopił, ale narobił krzyku i Austriacy zaczęli strzelać. To zważyło straż kozacką. Myśmży zwiali, lecz od tej chwili musiałem się ukrywać. Felczak dał się złapać na

drugi dzień. Nie wytrzymał śledztwa i wydał mnie. Jako niespokojny typ został wywieziony i poszedł do carskiej armii. Nic mu się nie stało. Wrócił po latach do wolnej Polski. Ja tymczasem ukrywałem się u dziadka Macieja na Piaskach.

Stary Maciej, patriarcha rodziny, nosił długie białe włosy i brodę. Był kiedyś powstańcem, dlatego wszyscy ludzie w okolicy go szanowali. Maciej był gawędziarzem i człowiekiem światowym. Wiele mi opowiadał i uczył. Sam był patriotą i mnie chciał wykirować na patriotę. Należał do jakiegoś chłopskiego związku. Opowiadał mi, że widział kiedyś wilkołaka. Jechał w zimie z Kozisza ze młyna. Na saniach wiózł mąkę. Naraz konie zaczęły strzyc uszami i rwać do przodu. Nie wiedział co się stało. W pewnej chwili obejrzał się na tył i zobaczył, że na workach stoi wilk, rozdarł worek i żre mąkę. Przeżegnał się i zniechęca z całej siły uderzył wilka laską, którą stary Maciej nosił zawsze przy sobie, ponieważ po jakiejś ranie z wojny wrócił chromy na nogę. W tym samym czasie wilk przemienił się w człowieka, który uśmiechnął się pięknie i zaczął dziękować, że Maciej wyzwolił go z mocy czarownika. A było to tak: „Będąc sałdatem byłem kiedyś na weselu na Polesiu. Stoły zastawione, orkiestra gra a ludzie nie jedzą, nie piją tylko czekają na coś. Wreszcie przyszedł stary człowiek, już siwy a ludzie w pas mu się kłaniają i zapraszają. Był to czarownik i ludziska bali się go, żeby w gniewie nie przemienił jądła czy napoju w kamień lub ludzi w wilkołaki. Ja jako żołnierz nie wierzyłem w to, nie ukloniłem się dziadowi i lekceważąco patrzyłem na to, ba, śmiałem się nawet z dziada. Zaraz mnie przyuważył,

spojrzał na mnie groźnie i krzyknął: „A ty tu co robisz? Won do lasu”. Ludzie za mną huzia, huzia i rzeczywiście poczułem się wilkiem i zacząłem uciekać, a ogon wtuliłem pod siebie ze strachu. I od tamtej pory włóczę się po polach i lasach, wilki mnie do siebie nie chcą przyjąć, a i ludzie od siebie odpędzają. Dopiero ty, zbożny człowiek znakiem Krzyża Świętego wyrwałeś mnie z tego przekleństwa”. Skończył opowiadać, skoczył z sań i poszedł sobie, a mnie ze strachu włosy urosły i broda osiwiiała. Tak opowiadał mi dziad Maciej.

Opowiadał mi i drugą legendę: „Za czasów Chmielnickiego Kozacy doszli aż tutaj. Spalili Kock, kościół, bóżnicę, wycięli ludność szlachecką i żydowską. Po jednej z bitew w okolicy Piasków chłop z babą, będąc w polu, znaleźli w zbożu rannego, nieprzytomnego Kozaka. Młody był, mógł mieć 16, 17 lat. Litość chłopca zdjęła, zaniósł chłopca do domu. Rana nie była groźna. Chłopiec wkrótce przyszedł do siebie. Miejscowa rodzina szlachecka zginęła, więc nikt chłopca nie prześladował i został w tej rodzinie. Później ożenił się z Kasią, córką gospodarza. Orał, siał i przyjął się do społeczeństwa wsi. Był dobrym rybakiem, pochodził gdzieś od Dniepru. Nazywał się Osip, czyli po naszymu Józef. Ksiądz, dając mu ślub napisał Osip Józef. I tak już zostało, tyle, że uproszczono Osip na Osik i z tej rodziny my pochodzimy”.

Dobrze mi było u dziadka Macieja. Miał on trochę książek. Z nudów zacząłem czytać. Szło mi opornie. Wprawdzie przez trzy zimy chodziłem do szkoły, lecz w szkole uczono pięć dni po rusku, a tylko jeden dzień po polsku. Znałem całą rodzinę panującą w Rosji na pamięć, lecz historii Polski nie, tyle tylko, co z

opowiadań rabina. Wprawdzie znałem alfabet po polsku i umiałem się podpisać, ale czytać to tylko na książeczce do nabożeństwa. Ale czytałem kalendarz i inne książki. Pomału nauczyłem się czytać. Tymczasem rabin dał mi znać, abym poszedł do Bork. Tam bowiem zbiera się grupa chłopów, którzy pójdą do Legionów Piłsudskiego. Tak też się stało. Żydowskim wozakiem przewieziono nas do Puław. Piętnastu chłopów jako robotników do budowy mostu na Wiśle. Przez Wisłę w nocy przewiózł nas łódką po siedmiu jakiś rybak. A stamtąd do Radomia. W lesie w okolicach Kozłówek, czy też może innej wsi, tworzył się oddział, gdzie wcielono nas do oddziału WP pod dowództwem por. Jankowskiego. Miałem jeszcze z dawnych czasów brauning i kilka naboji podarowany przez rabina. I to na razie było moje uzbrojenie. Później nosiłem niemiecki mundur, czapkę maciejówkę, jeszcze nie z orzełkiem, ale z bączkiem. Dopiero pod koniec wprowadzono orzelki. Nie brałem udziału w żadnej bitwie. Zresztą Niemcy poddawali się bez walki. Brałem udział w rozbrajaniu Niemców. Później byłem na defiladzie w Warszawie i tu na przegładzie podpadłem u samego Piłsudskiego. Zobaczył u mnie oberwany guzik i cały nasz batalion został wysłany na Polesie na front bolszewicki. W jednej z bitew byłem dwukrotnie ranny od jednej kuli, która wybiła mi palec i ugrzęzła w mięśniu koło łokcia. Leżałem w lazarecie dwa tygodnie, a później na urlop na jeden miesiąc do domu. Jechałem przez Polskę i widziałem ogromną radość u ludzi, że nareszcie Polska wolna. Wszędzie na stacjach czy w pociągu ludzie brali w ramiona żołnierzy i częstowali, czym kto mógł. Nazwisko Piłsudskiego

było na ustach wszystkich, jako bohatera. Polska była wolna, lecz jakże biedna. Rosjanie, cofając się, zabrali prawie cały tabor kolejowy. Były szyny, stacje, ale nie było wagonów, lokomotyw a nawet kolejarzy, którzy wraz z taborem znaleźli się w Rosji.

Piłsudski wił się jak wąż, nawet nowo powstały rząd był mu nieprzychylny, lecz żelazny ten człowiek dawał sobie radę. Co z tego, że trzymał z kapitalistami, z hrabiami, itp.? Musiał, bo tylko ci, mając kapitał mogli pomóc w odbudowie kraju i uzbrojeniu armii. Rosja sowiecka zbierała siły i szła od wschodu. Zalali z powrotem kraj, doszli przecież do Wisły. Dopiero słynny Cud nad Wisłą uratował Polskę. Matka Boska zatrzymała i odwróciła bolszewików. Pognaliśmy ich później aż do Kijowa i gdyby Piłsudski nie zatrzymał się wtedy, Kijów po dziś dzień byłby nasz.

Urlop spędzałem w domu w Biało-brzegach. Schodzili się ludzie na pogawędki i wypytywać o swoich, którzy nie wrócili jeszcze z wojny. Wróciło dwóch chłopów jeszcze z carskiej armii, a o reszcie słuch zaginął. Cóż ja mogłem ludziom powiedzieć? Żadnego ziomka na wojnie nie spotkałem. W domu rodzicom powodziło się dobrze. Mieli całą oborę świń, chyba ze trzydzieści sztuk. Dokupili dziesięć morg ziemi. Mieli pieniądze, ale ceny tak skakały, że sprzedasz dziś krowę, to za miesiąc kupisz za to koguta, a czasem i odwrotnie. Ręka mi się wygoiła, lecz pod koniec urlopu miałem przygodę. Poszedłem do Kocka z bratem Antkiem. U Szmula wypiliśmy czterdziestkę i postanowiłem odwiedzić piękną dziewczynę, żydówkę imieniem Rachelę, ale nazywano ją z polska Róża. Otóż kiedyś za-

chodziłem często do sklepu Ankla, aby popatrzeć na piękną Różę. Z czasem zaprzyjaźniłem się z nią. Poszedłem do Ankla, lecz służąca powiedziała mi, że Róża leży chora. Żyda w domu nie było, więc wszedłem do pokoju Róży. Siedziała skulona w kącie łóżka, z obłędem w oczach i powtarzała pytanie „Nie zabijecie mnie, powiedz, nie zabijecie mnie?” Nie wiem czy mnie poznała, bo w pewnej chwili spojrzała mi w oczy i rzekła „Powiedz, że nie dasz mnie zabić, powiedz”. Uciekłem stamtąd przestraszony wyrazem jej niegdyś pięknych oczu. Od szynkarza Szmula dowiedziałem się, że Róża miała pięknego czarnego psa, który się wściekł i pogryzł Różę. Na jej oczach zabito psa, a Róża, chociaż leczona przeciw wściekliwości, dostawała czasem tak jakby obłędu. Później zmarła.

Brat Antek siedział z jednym żołnierzem, Józefem Cybulcem z Bykowszczyzny, który będąc na urlopie chciał się ze mną spotkać. Zamówiłem butelkę, kiełbaski i galaretę w occie. W tym czasie weszło do karczmy czterech czy pięciu drabów. Poznałem jednego – Wielki Sikora, pierwszy zabijaka w Kocku. Grasował po knajpach i gdzie chłopie ze wsi siedzieli zabierał ze stołu wódkę czy wino z butelką, zakąską z talerzem i ze swymi kumplami zjadali i wypijali na oczach chłopów. Ludzie bali się protestować, bo pobili, a mogli i zabić, co się zdarzało w czasie wojny. Nawet policja była wobec nich bezsilna. Tak się stało i teraz. Podszedł Sikora do naszego stołu, wziął butelkę i śmiejąc się sięga po talerz z galaretą. Mówię do niego – zostaw, a on „co mówisz, widziałeś to?” i pokazuje pałkę z zasadzoną na niej mosiężną kulą. Byłem podpity i zdenerwowany, a jako żoł-

nierz legionista nie chciałem się cofnąć. Powtórzyłem: „zostaw butelkę”, a jego kompani w śmiech. Sikora śmiejąc się wziął talerz z galaretą i chciał odejść do następnego wolnego stolika. Mocnym uderzeniem podbiłem mu talerz z galaretą polaną octem. Galareta wylądowała na twarzy Wielkiego Sikory, załała mu octem oczy i nos. Zawył z bólu i zaczął się wycierać. Skorzystałem z tego, wyrwałem mu z zanadru pałkę i rozpoczęła się bójka. Koledzy Sikory kupą skoczyli na mnie, lecz Cybul z Antkiem chwycili za stołki i pobiliśmy bandę Sikory. Wpadła policja, zabrała Sikorę i jego pobitych kompanów, a nam, ze względu na to, że byliśmy wojskowymi, kazali tylko zapłacić Szmulowi za szkody wyrządzone w czasie bójki. Otworzyła mi się rana koło łokcia. Musiałem pójść do lekarza, a po dwóch dniach urlop się kończył. Odjechałem do armii.

W Warszawie, gdzie się zgłosiłem, lekarz po obejrzeniu rany odesłał mnie do kwatermistrzostwa na miesiąc kwarentanny. Dopiero po miesiącu miałem wrócić do batalionu na Białorusi. Tymczasem woziliśmy prowiant, amunicję i sprzęt pociągami z Warszawy do Kowna i pod Smoleńsk. Z dawna znałem się trochę na handlu, a tu znowu zaczął się handel i szmugiel. Wkrótce znali mnie dostawcy, a i szef polubił. Mawiał często, że mam smykałkę do handlu. Wiodło mi się dobrze. Mogłem zostać w kwatermistrzostwie, ale ambicja mnie gnała na front. Ja stary legionista będę prowiant woził? No i po miesiącu wróciłem do batalionu.

W tym czasie nasz batalion nazwano Batalionem Śmierci. Gdzie było najciężej, posyłano nasz batalion, który zawsze musiał wroga przełamać. Chłopy jeden w drugimie silne, krępe i szcze-

gólnie groźne w walce na bagnety. Po kilku tygodniach walk w okopach przekłamałem wojsko, wojnę i bolszewików. Przeżyłem smród, głód, brud i wszy w ziemiankach i okopach. Lecz cóż, trzeba było walczyć aż do zwycięstwa. Zdobyliśmy Smoleńsk, trzykrotnie zdobywaliśmy Połock i trzykrotnie bolszewicy go odbijali.

Pamiętam raz omal mnie wilki nie zjadły pod Połockiem. Byłem wówczas łącznikiem od sztabu armii do batalionu. Jechałem konno przez las nocą. Miałem tylko szablę. Otoczyło mnie stado wilków. Gnałem co koń wyskoczy, lecz wilki były szybsze. W pewnej chwili jeden wilk chwycił konia za szyję zębami. Koń zwolnił, zaczął się chwiać i dusić. Chwyciłem się konaru dębu, pod którym zatrzymał się koń. Szkap oparła się bokiem o pień drzewa. To pozwoliło mi mocno uchwycić się konaru. Prawie, że przewiesiłem się brzuchem na gałęzi, gdy jeden z wilków wskoczył na walącego się konia i chwycił za obcas mojego buta. Koń upadł, wilk zawisł ciężarem u mojej nogi i omal mnie nie ściągnął z gałęzi. Nie mogłem się od niego uwolnić. Wyjąłem szablę i dzobałem go. Nie odczepił się. Tłukłem w łeb szablą. Nic nie dawało. Aż odrąbałem łeb od tułowia, szczęki uwolniłem podważając szablą. Tymczasem wilki zagryzły konia i darły z niego kawały mięsa, gryząc się między sobą. Zziębnięty z wysiłku, ledwie żywy siedziałem na drzewie i czekałem, kiedy wilki nasycają się i pójdą. Nie wiem jak długo to trwało. Dopiero o świcie wilki, jeden po drugim zaczęły umykać spod drzewa. Pozostał tylko koń z pogryzionym zadem i szyją oraz ciało wilka z odciętym łbem. Wziąłem siodło i poszedłem do sztabu pieszo z szablą w rękę dla obro-

ny (tym razem bałem się tylko wilków). Po jakimś czasie dopędzili mnie dwaj konni zwiadowcy, wysłani za mną, sprawdzić co się stało, że nie wróciłem. Widzieli po drodze zjedzonego konia i zaświadczyli przed dowódcą, gdy zdawałem raport. Od tamtej pory wysyłano po dwóch gońców, chociaż raz i dwóch nie wróciło i nie wiadomo co się z nimi stało.

Wiosną wysłano nas na Ukrainę, w okolice podgórskie. Zdobywaliśmy wiele miast i wsi w rejonie Żłotej Lipy i Gniłej Lipy. Walczyliśmy z Kozakami Petlury, bolszewikami i z hajdamakami. Tam się działy straszne rzeczy, a najwięcej ucierpiała nieszczęsna ludność ukraińska. Spotykało się wsie i osady wypalone, ludność wyrżnięta, kobiety zgwałcone, zamęczone jeszcze z granatem wsadzonym między nogi. Czasami granat rozerwał ciało kobiety, a czasem nie rozerwał się tylko sterczał do góry jakby wołając o pomstę do nieba.

Poszliśmy raz na odsiecz jakiegoś miasteczka, które zajęli bolszewicy. Huraganowym ogniem przełamaliśmy opór. Wróg zaczął uciekać. W podwórku jakiegoś piętrowego domu usłyszałem krzyk mordowanej kobiety. Wpadliśmy we dwóch na schody i na piętro, skąd dochodził krzyk. Kolega, który wpadł pierwszy od razu przygwoździł bagnetem wroga, gwałcącego młodą kobietę. Druga, starsza leżała pod ścianą z rozbitą głową, z której ciekła krew. Ściągnąłem dogorywającego wroga z kobiety, ta zasłoniła suknią nogi i od razu krzyknęła: „O Polacy. Ratujcie dziecko”. Podbiegła do okna i pokazuje na krzak bzu. Na ogromnym krzaku wisiało w gałęziach może półroczne dziecko. Wypadłem na podwórko, wlałem w krzak i wyjąłem żywego chłop-

ca, który na rękach zaczął krzyczeć. Nic mu się nie stało, bo był w poduszce, tak jak w beciku. Był tylko trochę podrapany. Tymczasem kobieta z żołnierzem zaczęli cucić matkę, której uderzenie kolbą przez grubą chustkę też nie zabiło. Otóż przed chwilą, już w czasie walk, wpadł ten do ich mieszkania i widząc piękną młodą kobietę chciał ją zgwałcić. Kobieta zaczęła krzyczeć i uciekać. Wpadła jej matka. Bolszewik pchnął kolbą starą kobietę. Młoda chwyciła z kołyski dziecko z poduszką. Wyrwał jej dziecko i wyrzucił przez otwarte okno, co widząc kobieta upadła półprzytomna. Wojak na nią i za chwilę my wpadliśmy. To były Ukrainki. Mąż młodszej walczył gdzieś w Armii Czerwonej. Kobiety podziękowały nam i zapraszały na kwatery, gdybyśmy mieli postój w tym mieście. Poczęstowały nas dobrym winem własnej produkcji i domowym ciastem. Tego samego dnia poszliśmy dalej i więcej ich nie widziałem.

Pewnego razu ogarnął nas patrol kozacki. Kilkunastu Kozaków otoczyło nas (pięciu żołnierzy) i wzięli do niewoli. Pognali nas do wsi, gdzie w domu popa stał ich dowódca. Wprowadzili nas do domu. Wyszedł ich dowódca i krzyknął. „Po coście tu tę swołocz przyprowadzili? Nie wiecie co się z nimi robi?” I pokazał po szyi. Miało to znaczyć, żeby nam głowy poucinać. Był u niego jakiś oficer. Coś zakrzyknął na sotnika, a później po polsku zaczął nas pytać: Z jakiego pułku? Co robiliśmy na tym terenie?, itd. Nasz dowódca odpowiadał. Wreszcie zapytał nas o co walczymy i z kim. Dowódca odpowiedział, że walczymy przeciw bolszewikom o wolną Polskę. Oficer roześmiał się i odrzekł: „My też walczymy o wolną oj-

czynnę. Tylko, że my jesteśmy na swoim terenie, a wy przyszlście na naszą ziemię i musicie za to odpokutować”. Kazał nas oddać chłopom jako niewolników do roboty. Coś jeszcze gadał z naszym dowódcą – podoficerem, a nas rozdzielono. Ja poszedłem z jakąś babą na koniec wsi. Dobra była kobieta, dała jeść, pić, pościel na noc i sama przyszła. Mówiła, że mąż jej już osiem lat gdzieś na wojnie i słuch o nim zaginął. Rano poszliśmy z babą nad rzekę, ścięliśmy wierzbę. Baba poszła po wóz i konia, a ja zostałem obcinać gałęzie. Mogłem uciekać. W pobliżu nie było nikogo, a i Kozacy rankiem odjechali. Ale nie chciałem. Dobrze mi było u tej baby. Lepiej spokojnie drwa rąbać niż głowę na kule wystawiać.

Wieczorem do wsi przyszli nasi i trzeba było wracać do batalionu. Początkowo wzięto nas za dezertów. Nie chciano uwierzyć, że petlurowcy tak łagodnie się z nami obeszli. Uwierzono dopiero naszemu podoficerowi, który pokazał jakiś list do przekazania naszemu dowództwu. Później się okazało, że już wtedy Petlura szukał kontaktu z polskim wojskiem i wkrótce przeszedł na naszą stronę, a później nas zdradził.

I znów poszliśmy w stronę Kijowa. I znów okopy i ataki, ale szliśmy wciąż do przodu. W jednej z bitew na jakiejś łączce poszliśmy na bagnety. Zwaliłem jednego, drugiego i miałem się zewrzeć z trzecim, ogromnym bolszewikiem, lecz pośliznąłem się, dostałem kolbą po łbie i straciłem przytomność. Było to pod wieczór.

Obudziłem się o zmroku. Zanim przyszedłem do siebie, stwierdziłem, że żyję i nic mi nie jest, tylko głowa boli i chwieje się pod hełmem. Otoczyło mnie

kilku bolszewików i poprowadziło ze sobą. Zrozumiałem, że nasi musieli się cofnąć, a bolszewicy utrzymali pole. Zbierając broń z pobojowiska chwycili i mnie. Zaprowadzili mnie i wepchnęli do jakiejś dworskiej stajni. Było tam już zamkniętych ze dwudziestu naszych. Siedzieliśmy tam przez noc i do południa o głodzie. Kilku było lekko rannych jak ja. W południe podeszła kuchnia polowa, dano nam jeść i poprowadzono do jakiejś stacji. Tam załadowano około sześćdziesięciu w bydłym wagonie i pojechaliśmy w nieznaną. Chłopy wróżyły, że wylądujemy aż na Syberii. Jednak po półtorej dobie w jakimś dużym mieście rozładowano nas i popędzono czwórkami. Na jakimś szludzie przeczytałem: „Moskwa”.

Szliśmy ze trzy godziny. Wreszcie wprowadzono nas do jakiegoś budynku. Było to więzienie czy też koszary. Oznajmiono nam, że tutaj będziemy zamknięci. Spisano nasze personalia i wydano kartki na kuchnię. A czas już było, bo tylko jeden raz jadłem przez te dwa dni. W łagrach byłoby znośnie gdyby nie głód. Racje żywnościowe były tak skąpe, że człowiek tylko marzył, aby dobrze się najeść. Było to naszym marzeniem przez długie miesiące. Strażnicy nie byli źli. Dyscyplina była, lecz nie znęcano się nad jeńcami. Żartowali sobie strażnicy: „Żyć budziesz, a jebać nie zachociesz”. I tak było, że człowiek z głodu ledwie chodził. Była jedna zasada nie tylko w łagrach, ale i w całej Moskwie: musiałeś gdzieś pracować, aby dostać kartki żywnościowe – „Nie robotajesz, nie kuszajesz”. Trafiłem do ósemki, która miała zadanie: po śniadaniu wóz zaciągnąć sześć kilometrów do lasu, naciąć drewna i przyciągnąć do Moskwy, do piekarni. Czasem pie-



karze dali nam bochen nieudanego chleba. Był czas, że receptura chleba w Moskwie była taka: 30% mąki, 30% suszone i mielone obierki ziemniaczane a reszta to łuski z prosa czy gryki, otręby lub inne plewy. A i takiego chleba czasem brakowało. Spędziłem w Moskwie z przerwami cztery lata i nie widziałem żeby ktoś na ulicy jadł bułkę czy kawałek chleba. Latem to czasem można było zobaczyć jakiś owoc, rzodkiew, burak, czy choćby główkę kapusty. Kraj spustoszyła rewolucja i wojna. A i teraz nie było spokojnie. Bandy grasowały i niszczyły zbiory.

Po jakimś tygodniu czy dwóch zawiadurszyk na apelu ogłosił, że potrzebują traczy, drwali, cieśli i stolarzy do roboty w lasach koło Pińska. Zgłosiłem się jako tracz. Po pierwsze dlatego, że może gdzieś będzie mniej głodno, a po drugie, że bliżej Polski, może uda się uciec. Zanim wyjechałem w łagrach odbył się wiec, na którym postanowiono wysłać prośbę do Lenina, aby poprawiono nam normy wyżywienia. Pojechało nas trzech. Lenin przyjął nas w obecności kilku urzędników. Z każdym przywitał się i spytał: „Z czym towarzysze przychodzicie?” Po przedłożeniu naszej sprawy obiecał się tym zająć. Trochę się życie poprawiło, ale cóż, w tym czasie cała Moskwa, a z nią i Rosja były głodne.

Po kilku tygodniach wywieziono nas na zachód, rozładowano na jakiejś małej stacyjce i ruszyliśmy w lasy. Pół dnia drogi piechotą i zatrzymaliśmy się w jakiejś leśniczówce. 160 chłopów miało pomieścić się w jednym domu i stodołce razem z obórką. Przyszły kuchnie polowe, prowiant i zaczęliśmy robotę. Trzeba było naciąć pni grubości 30 cm i z okrąglaków zbudować domy. Przed

zimą stanęło cztery chaty. Ja pracowałem jako tracz. Deski były pilnie potrzebne na dachy. Jedna grupa piłami ścinała drzewa, inna siekierami obcinała gałęzie, a inna ładowała na chłopskie wozy, które wiozły drewno do kolei, a stamtąd do Moskwy. Cóż, tutaj też było głodno. Szukaliśmy kontaktu z miejscową ludnością. Było tylko dwunastu strażników. Po zbadaniu terenu można było zaryzykować ucieczkę. Pod koniec zimy udało mi się uciec. Dwie doby błędzenia po lasach, dwukrotnie zachodziliśmy do ludzkich chat. Dobrzy ludzie nakarmili, dali trochę na drogę. Wędrówkę po leśnych drogach utrudniały śniegi i odwilż. Zaalarmowany oddział czekistów z miejscowego posterunku po śladach dopędził nas, otoczył i już w kajdanach dostarczył nas na jakąś stację. Tam już było z 60 plennych, gdyż trwała jeszcze wojna i przekazano nas w ręce eskorty jeńców. Razem z tą grupą wróciliśmy do Moskwy. Jako uciekinierów postawiono nas przed sądem wojennym. Wprowadzono nas na śledztwo. Tam już czekało z dziesięciu innych i po kolei wchodziliśmy na badanie. Wszedłem i ja, stanąłem koło drzwi. Za stołem siedział młody oficer starszyna. Spojrzał na mnie ze złością i krzyknął po polsku:

– Ktoś ty?! Melduj się!

– Jestem plenny – odrzekłem.

– To widzę, fajtłapo! – krzyknął – Po wojskowemu zamelduj się, jeśli potrafisz!

Szurnałem butami, wyprostowałem się i zameldowałem:

– Henryk Osik, starszy strzelec 4 Kompanii 3 Batalionu „śmierci”, żołnierz polski, wzięty do niewoli 3 września 1918 r. w rejonie Wasilówki...

– Dość! – krzyknął – Patrz Leon. Co ja

słyszę? „Żołnierz polski” Ty jesteś żołnierz polski. Ty jesteś kurwa batalionowa. Ha, „Batalion Śmierci”. Słyszałem wiele o tym batalionie i liczyłem, że tam są chłopcy z jajami, a nie taka pizda jak ty.

Sklął mnie, spomścił i rzekł:

- Gdyby Piłsudski był pod Moskwą, osobiście bym odstawił cię Piłsudskiemu i prosił, by cię rozstrzelał. A wiesz za co? Za to, żeś dał się durnemu bolszewikowi wziąć do niewoli. Nie mogłeś mu zapieprzyć bagnetem w bebech, aż by mu się komuny odechciało? - krzyczał coś jeszcze, wreszcie rzekł do adiutanta: - Powiedz Leon, co z nim zrobimy. Do łagru nie może wrócić, bo uciekinier. Rozstrzelać to byłby za duży zaszczyt dla takiego dupka, co to pierwszemu lepszemu bolszewikowi w niewolę się oddaje. Zadzwoń do Kozłówki i poproś Jahowa, żeby przyjął do majątku trzech polskich jeńców, to będzie miał przynajmniej na czym orać. Zajmij się nim. Następny! - krzyknął.

Adiutant Leon wyprowadził mnie do następnego pokoju i zaczął dzwonić do majątku Jahowa. Czekając na połączenie zaczął ze mną rozmowę. Zapytał skąd pochodzę. Odrzekłem, że z Łukowskiego, z Białobrzeg od Kocka.

- Toć my swojacy! - zawołał Leon - Z jednej parafii! Ja jestem z Bork. Witaj ziomku. Co w Polsce niepodległej? Kiedy byłeś ostatnio w domu? Siadaj i opowiadaj, bracie. To trzeba uczcić. - Otworzył szafę, wyjął butelkę, szklanekę i wędzonkę a może suszoną rybę. Wlał mi pół szklanki. Wypiłem. Potem sobie. Bez przerwy gadał i cieszył się jakby ojca czy brata zobaczył. Jedząc rybę opowiedziałem mu swoje dzieje. Wypiliśmy drugą kolejkę.

- Nie puszczać cię. - rzekł - Pójdiesz

ze mną na kwaterę. Mieszkam razem z majorem Malinowskim. On ma żonę i dziecko. Mieszka na górze a ja mam pokoik na dole. Przez noc się nagadamy. Znajdzie się coś zjeść i wypić. Tylko z chlebem, cholera, krucho. Lena ugotuje nam kutię i kartoszki w mundurkach.

Zadzwoił telefon. Leon rozmawiał z kimś, mówił mu po imieniu, lecz po rusku. Zrozumiałem, że jutro ma nas wysłać do majątku. Odłożył słuchawkę i rzekł:

- Zląkłeś się majora, ale on tylko udaje srogiego, a w rzeczywistości to dobry chłop i do tego Polak. Służy bolszewikom sam nie wiem dlaczego, ale nie lubi ich, klnie, pomści, ale służy - taki już jest. Polakom pomaga jak może. A może dużo. Znają go i szanują wszyscy komisarze w Moskwie. Brał udział w szturmie na Pałac Zimowy. Tam uratował mi życie i przyłgnąłem do niego. Posiedź tu, my zaraz skończymy. Nie bój się, major nie jest zły. - Wyszedł. Zrobiło mi się gorąco od tego samogonu, który wypilem. Zjadłem resztę ryby razem z głową i ogonem. Siadłem w jakimś obtartym fotelu i zasnąłem. O zmroku obudził mnie Leon i poszedłem z nim. Minęliśmy jakieś trzy uliczki i weszliśmy do murowanego piętrowego budynku. Na prawo trzecie drzwi Leon otworzył kluczem i wprowadził mnie do dużego pokoju. Umeblowanie stanowiła kanapa, stół, trzy stołki i ława, na której leżała odzież i stał karabin maszynowy z taśmą naboi.

- To majora. - rzekł - Nie trzyma go u siebie, gdyż boi się o Saszę, który ma już piąty rok. A taka maszyna w tych czasach tutaj może się przydać. Ja mam tylko taki. - Wyjął z kieszeni szynela duży nagan. Zabezpieczył i położył obok karabinu na ławie. Otworzył

drzwi i zawołał: - Lena! - Po chwili weszła kobieta w zielonej sukni, w walonkach i wojskowej bluzie, lat około czterdziestu, tęga i ładna. Rzekł do niej po rosyjsku: - Ugotuj nam kutię i kartofle. Mam gościa. Aha, kup wina a przynajmniej samogonu.

- Dobrze Łońka - odrzekła kobieta z uśmiechem i wyszła.

Leon nastawił samowar. Wyjął kopciuch, jakąś bibułę i skręcił papierosa. Potem podał mnie. Zrobiłem to samo i zapaliliśmy. Ściągnął jakąś makatkę spod stołu i wyjął harmonię, jakąś piszczałkę i bałałajkę.

- Ot widzisz, jestem muzykantem. W 1909 r. w Łukowie stawałem na losy i zostałem odebrany do wojska. Służyłem w Kijowie w 16 Atamańskim Pułku Strzelców Konnych. Zgłosiłem się do orkiestry. Grałem na flecie i trąbce na przeglądach i defiladach pułku. Później rozkazem specjalnym zostałem przydzielony do orkiestry cesarza. Pojechałem do Petersburga i kilka lat grałem w orkiestrze carowi. Mieszkaliśmy w pałacu. W czasie szturm na pałac miałem służbę. Nie chciałem walczyć, bo z bronią w ręku na pewno bym zginął. Wziąłem harmonię, siadłem na stołku w jakiejś sali i grałem. Wpadła hołota, kilku przebiegło koło mnie. Wreszcie jeden się zatrzymał. Podniosłem wzrok. Ujrzałem nad swą głową wzniesioną szablę. Krzyknąłem „Jezus Maria” i razem ze stołkiem zwałem się na bok, lecz nie od cięcia szablą, tylko od kopnięcia w bok stołka. Nade mną stał komisarz i klął po polsku. Wreszcie krzyknął „Wstawaj Polaczek - carski grajku, bierz opaskę, szablę w garść i chodź za mną, bo tutaj zginiesz”. Rzucił mi czerwoną opaskę, którą skwapliwie założyłem na ramię,

chwyciłem leżącą szablę i pobiegłem za nim. Służę przy nim jak widzisz do dziś.

Nalał herbaty, wyjął butelkę samogonu i rozmowa zesłała na temat rewolucji październikowej, której Leon był naocznym świadkiem. Opowiadał o strasznych scenach, które widział. O latach walk na różnych frontach rosyjskiej wojny domowej. Nawet tu w Moskwie można się spodziewać buntu białogwardzistów. Tymczasem weszła Lena, niosąc kociołek z gorącymi ziemniakami i duży sagan zupy. Przyniosła trzy talerze, nalała nam i sobie. Jedliśmy, rozmawiając. Pomyślałem, że tych dwoje łączy coś więcej niż przypadkowe sąsiedztwo. Po kolacji Lena poszła zmywać naczynia a Leon opowiedział mi jej historię.

- Przed rewolucją była żoną jakiegoś carskiego urzędnika, który zginął w czasie rozruchów. Lena pewnie też by zginęła jako burżujka, lecz ponieważ była młoda i ładna to żołnierze chcieli się z nią „zabawić”. Broniła się dzielnie. Patrzyliśmy na to aż w pewnej chwili komisarz wystrzelił w powietrze. Żołnierze zmieszali się, a on krzyknął: „Dawać kobietę na przesłuchanie”. Kazał mi ją poprowadzić do swojego tymczasowego biura. A w biurze rzekł do mnie: „Zaopiekuj się, Leonid tą towarzyszką, bo szkoda, aby taka dzielna dziewczyna się zmarnowała”. Lena wkrótce przystąpiła do nas i nie gorszy był z niej żołnierz jak ze mnie. Trzymała się blisko komisarza albo mnie. To dla swojego bezpieczeństwa, nie tylko od wrogów, ale i od swoich, bowiem bolszewicy, szczególnie pijani, są zdolni do wszystkiego. I tak losy wojenne złączyły mnie - polskiego chłopca, Majora - oficera rosyjskiego, chociaż po-

chodził z dobrej rodziny szlacheckiej, i Lenę – kobietę z wyższych sfer burżuazji rosyjskiej.

Leon gadał coś jeszcze, lecz usnąłem, siedząc przy stole.

Na drugi dzień znalazłem się w majątku Kozłowa. Właściciel wraz z rodziną zbiegł gdzieś przed rewolucją, a tu utworzono komunę – kołchoz. Było kilkanaście kobiet, dzieci i starców. Mężczyźni byli w Armii Czerwonej, w więzieniach lub „paszli na zawod”, czyli pracowali w pobliskiej Moskwie.

Było przedwiośnie. Ludzie nie mieli czym karmić koni i bydła. Szła ekipa do lasu. Cięła cienkie gałęzie młodych drzew, brzozy, lipy dębu i innych. Taką łożę cięli w sieczkarni i po wymoczeniu dawało się owcom, koniom i bydłu. Było i tu głodno. Kraj wyniszczony wojnami, pola mało obsiane, a i kultura rolna pozal się Boże. Obsialiśmy kilka dziesięcin pszenicą, owsem, później prosem. Najgorzej było z kartoflami. Dostał majątek 16 pudów kartofli i trzeba było tym obsadzić kilka dziesięcin. Kroiło się kartofel na kilka części i taką lupinę sadiło pod pług. I dziwną rzeczą był ogromny zbiór ziemniaków. Nie wiem czy tylko w tym roku. Wprawdzie pola z tej strony pod Moskwa są urodzajne. Piękne sady ciągną się kilometrami. Urodzaj dopisał. Zboża porodziły się ogromnie, ale cóż z tego. Co ludzie w dzień zwieźli w sterty, to ktoś w nocy podpalił. Musiano przy stertach stawiać wartowników z bronią. Pokazaliśmy ludziom jak się u nas kosi zboże. Kosa z pałąkiem i na ścianę, zbiera się i wiąże w snopy. A tam kosili gołą kosą na pokos, kobiety zgrabiały w kupki, jak siano. Pochwalili ludzie naszą robotę. „Polaczki mądre” mawiali starzy.

Słyszałem kiedyś takie określenie:

„Święta Ruś”. O mężczyznach bym tego nie powiedział, ale kobiety rosyjskie są naprawdę dobre. Gdzie się nie poszło, to z nami plennymi dzieliły się ostatkiem. Nie miała chleba, to bódaj garnkiem mleka, kawałkiem sera czy pieczonym kartoflem częstowała. Myśmy mieli kartki żywnościowe, ale czasem i tego skromnego przydziału nie można było dostać. Na przykład trzy funty chleba na tydzień, sześć żółędników oleju, funt ryb i pół funta mięsa lub cztery jajka lub mleko, ser i owoce. Urąbało się kobiecie drzewa, naprawiło dach czy zrobiło jakąś inną męską robotę, a taka odwdzięczyła się jak mogła. Uprała bieliznę, dała jakiś ciuch po mężu, polatała, czasem zaprosiła na kolację, czy na całą niedzielę lub święto. Cerkwie i kościoły były pozamykane. Księża i popi wyróżnieni. Jeżeli gdzieś jakiś żył, to się ukrywał i ludzie go chronili. W niedzielę ludzie szli do teatru czy na wiec. Nikt nas, plennych, a było nas w majątku sześciu, nie pilnował. Byliśmy na wolności. Uciekać nie było sensu, bo złapią. Ukrywać się, to z głodu można umrzeć. Pamiętam zaprosił mnie raz chadziaj ze wsi. To było na Wielkanoc. „Przyjdź, przyjdź” mówi. „Zabiłem bolszego kabana, miał 60 funtów”, czyli około 30 kg. Poszedłem nie tyle na zaproszenie chadziaja, ile na zaproszenie Nataszy, jego córki, wdowy. Jej mąż, Wasyl, zginął w czasie wojny domowej. Miałem wtedy prawdziwe gody, ale trwało to tylko dwa dni, a potem znowu głodno.

Pewnej niedzieli, pod jesień byłem w teatrze. Po występach odbył się wiec, na którym jakiś oficer – komisarz przekazywał wieści o sytuacji na frontach. Nie słuchałem tego zajęty rozmową z Nataszą, która siedziała obok mnie.

Usłyszałem tylko zdanie: „ Buntuje się jeszcze nasz Przywiślański Kraj”. I wtedy ktoś z naszych krzyknął: „Nieprawda! Przywiślański Kraj to Polska! I nie wasz, tylko wolna Rzeczpospolita, która nigdy więcej nie będzie wasza! Nasze wojska już kilkakrotnie przegnały bolszewików i teraz dadzą wam takie lanie, że więcej nie wyciągniecie łapy po „Przywiślański Kraj!” Zrobiło się zamieszanie. Weszli czeekiści. Oficer pytał kto krzyknął, lecz nikt się nie przyznał i nikogo nie wskazano. Przy wyjściu stali czeekiści, zatrzymywali wszystkich Polaków i prowadzili na przesłuchanie. Nie wróciłem już do Kozłówek. Razem z kilkunastoma plennymi siedziałem przez trzy tygodnie w więzieniu. Później odczytano nam zbiorowy wyrok. Jako element kontrewolucyjny zostaliśmy odizolowani od społeczeństwa i wywiezieni na Sybir. Po kilku dniach wyprowadzono nas na stację, załadowano do wagonów towarowych i czekaliśmy na odjazd.

Był to tłum różnonarodowy i różnojęzyczny. Najwięcej jechało Rosjan. Ci jechali całymi rodzinami. Z tobołami i całym dobytkiem, jaki można było zabrać. W naszym wagonie jechali sami Polacy. Nie tylko plenni ale i cywile, za różne przewinienia. Później dowiedziałem się, że naszym przeznaczeniem miała być Mandżuria, kraina odebrana Chinom. Pocięszali się ludziska, że klimat tam znośny, ziemię żyzną i można będzie tam żyć. W każdym wagonie był piecyk i kocioł na wodę, który na postojach i stacjach napełniało się świeżą wodą. Dostawaliśmy suchy prowiant, więc piecyk wечно był w użyciu. Gotowano kawę, a czasem jakąś zupę. Na postojach i stacjach pod okiem strażników można było się przejść, pospa-

cerować, a nawet coś kupić od przepukniów. Niektórzy ludzie przynosili coś do jedzenia i dawali więźniom. Strażnicy nie przeszkadzali. Na drugi czy trzeci dzień przejeżdżaliśmy przez góry. Ktoś zawołał: „Ural, żegnaj Europo, żegnaj. Ojczyzno, chyba cię już nie zobaczą!” Jedni się z tego śmiali, a innym łzy z oczu spływały. Pociąg się włókł dolinami cały dzień wśród gór. Gdziegdzie śnieg widać było, choć to październik był dopiero. Na drugi dzień byliśmy już w Azji, czyli na Syberii. Któregoś dnia jakiś konny oddział z daleka strzelał do pociągu, ale kule nie szkodziły, przynajmniej o nasz wagon nie słycać było uderzeń, lecz rozkaz był położyć się na podłodze, ale ciekawość przemogła. Wyglądaliśmy okienkiem. Widać było z daleka kudłate postacie na koniach. Mówiono, że to Zauralscy Tatarzy Selimowa.

Jechaliśmy na wschód. Syberia witała nas mroźnymi podmuchami zimy. Pociąg szedł wolno, rzadko się zatrzymując, bo stacje były daleko jedna od drugiej. Co dwa dni skład zatrzymywał się dla zabrania wody i paliwa. Opalany był drewnem. Na takich stacjach przygotowane były sągi drewna, szczapy na sążeń długie. Jeńców pędzono do załadunku. Ładowało się dwa wagony. Przy takiej okazji można było porozmawiać z miejscowymi ludźmi. Ludzie z pasażerskich wagonów wychodzili na zakupy lub po wodę. Nam więźniom nie wolno było wychodzić, ale strażnicy byli dobrzy i dwóch ludzi z wagonu pod strażą mogło wyjść i coś kupić. Tylko, że mało kto miał pieniądze. Czasem jakaś dobrotliwa ręka podała więźniom paczkę żywności, chleb, kawałek mięsa, cebula lub rosyjski pieróg.

W wagonie zaprzyjaźniłem się ze

starszym człowiekiem. Był to Jan Smarzewicz. Niegdyś student ze Lwowa, wywieziony w głąb Rosji za działalność antypaństwową. Rewolucję przeżył w Moskwie, a teraz jechał do Mandżurii. Przejechaliśmy jedną, a potem drugą wielką rzekę. Jan, który był człowiekiem wykształconym, objaśniał nas, że te dwie ogromne rzeki to tylko dopływy wielkiej rzeki Ob. Mijaliśmy miasteczka niepodobne do naszych. Drewniane budowle, duże i nieładne, przeważnie z okrągłaków. W Omsku staliśmy cały dzień. Urzędnicy kolejowi bali się dalej wysłać pociąg, gdyż na wschód od miasta wrzało powstanie. Wreszcie nocą wyruszyliśmy pod ochroną jakiejś grupy wojska. Rozmyślałem całymi dniami o ucieczce. Zwierzyłem się o tym Janowi, który wkrótce stał się przywódcą, ponieważ najlepiej orientował się w każdej sytuacji. On rozmawiał ze strażnikami, wychodził i organizował zakupy. Znał język tatarski, którym oprócz rosyjskiego można było porozumieć się z miejscową ludnością. Jan radził czekać jakiejś dogodnej okazji: jakiś napad na pociąg, walka na stacji czy też coś podobnego. Jan wtajemniczył jeszcze dwóch ludzi: Stanisława Horczuka, jeńca z Polesia, i Józefa Starskiego z Poznańskiego. Postanowiliśmy w razie okazji uciec i trzymać się razem. Jan w swoim kufierku miał zapas żywności, który składaliśmy już dłuższy czas. Należało też zdobyć broń, nóż i siekiere, bez których to rzeczy zginęlibyśmy w tajdze. Okazji nie było, a my coraz dalej od Uralu. Mijaliśmy jakieś mokradła, błota, z których unosiła się mgła. Wreszcie za Omskiem wjechaliśmy w zwarte lasy. Ogromne drzewa tworzyły jakby tunel nad jedną parą szyn. Pociąg o zmroku jechał powoli, aby nie wpaść na

jakąś przeszkodę, zwalone drzewo czy rozkręcone szyny, co mogło się zdarzyć w zbuntowanym kraju. I zdarzyło się. Jechaliśmy od Omska noc i dzień. Pod wieczór pociąg stanął w lasach. Później dowiedzieliśmy się, że na torach leżą zwalone, zrąbane drzewa. Oddział wojska poszedł przodem zbadać w terenie, a nas, jeńców, poprowadzono do usunięcia przeszkody. Dano nam kilka siekier i dwie piły. Jan trącił mnie w bok i powiedział: „Trzymaj się mnie”. To samo zrobił ze Staszkiem. Rąbaliśmy gałęzie, przerzynaliśmy pnie, których kilkanaście leżało w poprzek szyn. W godzinę może usunęliśmy przeszkodę pod nadzorem strażników. Wreszcie padł rozkaz – złożyć siekiery i do wagonów. Ja siekiere wsadziłem pod płaszcz, Jan pod palto. Podchodziliśmy pod wagon i w tej chwili z przodu pociągu padło kilka strzałów. Strażnik krzyknął „Szybko do wagonu” i sam wskoczył na stopień. Ludzie już byli w wagonach, chronili się przed strzałami. Jan chwycił strażnikowi karabin i wyrwał. Ja złapałem za torbę z nabojami i ściągnąłem mu z ramienia. Strażnik wdrapał się do wagonu i zaczął krzyczeć. Zatrzasnęliśmy za nim drzwi. Jan jeszcze porwał swój kuferek i krzyknął „Za mną, w las”. Posypały się strzały a my uciekaliśmy na oślep w las. Jan dał mi karabin, Staszekowi siekiere i już wolniej uciekaliśmy przez las. Zatrzymaliśmy się dopiero nad jakimś strumieniem. Było nas trzech. Wkoło ciemno i zaczynał padać mokry śnieg. Byłem spocony. W lesie cisza, tylko lekki wiatr szumiał w koronach drzew. Po gałęziach przeszliśmy strumień i poszliśmy już wolno przez ciemny bór. Jan powiedział, że dał mi karabin, bo sam nie umie się z nim obcho-

dzie. Jak się później okazało, była to nieprawda. Chciał sobie ulżyć, bo niósł kuferek z chlebem. Sprawdziłem, czy nabój jest w lufie, odbezpieczyłem i niósłem gotowy do strzału. Siekierę wsadziłem za pas. Szliśmy wciąż w nieznanne. Po kilku godzinach zatrzymaliśmy się dla odpoczynku. Jan dał nam po kawałku chleba. Ja jeden paliłem papierosa. Miałem w woreczku tytoń, papier i kilka zapalek w pudełku. Zapaliłem papierosa, a Jan wyrwał mi zapalki i powiedział, że to nasz największy skarb i tylko on może opiekować się zapalkami, mnie będzie wolno palić przy ognisku a do papierosów nie będę marnował zapalek. Zgodziłem się na to bez słowa. Zrobiło się zimno. Ruszyliśmy dalej. Znać było nasze ślady na mokrym śniegu. Szliśmy aż do rana. Rankiem zmęczeni postanowiliśmy odpocząć. Staszek rozejrzał się po lesie. Wybrał ogromny świerk, którego gałęzie dotykały ziemi. Podeszedł, rozsunął je i zawołał nas. Pod świerkiem, jak w namiocie, było sucho, leżało dużo igieł. Staszek zsunął je na kupę i mogliśmy się położyć. Oparłem karabin o pień, siekierę w garść i tak przytuleni do siebie posnęliśmy. Zbudziło mnie zimno. Obudziłem towarzyszy i zaczęliśmy skakać w półmroku dla rozgrzewki. Było już z południa. Jan rozglądał się po świecie, ale śladów nie było. Wreszcie wywnioskował, z której strony przyszliśmy. Staszek, orientujący się dobrze w lesie, określił, że przyszliśmy z północy i tam musi być linia kolejowa, a nam wypada iść w przeciwnym kierunku, czyli na południe. Jan stwierdził, że pociąg, albo pojedzie dalej na wschód, albo wróci do Omska i z pociągu nie będą nas gonić ni szukać. Dopiero na najbliższej stacji zameldują i strażę

miejscowe będą gonić „bradiagów”. Byliśmy, więc wolni, ale zagubieni w tajdze, nie znający terenu ani tego, co nas czeka. Chciało nam się jeść i pić. Byliśmy głodni, lecz Jan nie otwierał walizki. Ruszyliśmy dalej w nadziei, że znajdziemy wodę. Staszek pokazywał nam ślady zwierząt. Wziął karabin. Postanowił ubić sarnę, jelenia lub dziką. On jeden miał nóż, a ja siekierę. Janowi wypadła jeszcze przy wagonie, jak wszedł po kuferek. Staszek szedł przodem. Umiał po korze drzew wybrać właściwy kierunek marszu. W pewnej chwili, a było już pod wieczór, zatrzymał nas, nakazał ciszę i sam począł skradać się jak kot. Zniknął wśród drzew. Po dobrej chwili gruchnął strzał i coś załomotało po lesie. Rozległ się kwik i stado dzików przeleciało koło nas. Jeden na końcu biegł tak jakoś bokiem, upadał, zrywał się i pędził dalej. Za nimi ukazał się Staszek. Rzucił mi karabin, porwał siekierę i popędził za dzikiem. Pobiegłem za nim. Po drodze włożyłem nabój do lufy i gotowy do strzału biegłem po śladach. Dzik krwawił. Na śniegu były ślady krwi. Uszedłem kawałek i zobaczyłem, że dzik leżał, a raczej siedział na zadzie i obracał się w kółko z kłami i ryjem w kierunku Stacha, który chciał go ugodzić siekierą w łeb. Stach szukał sposobnej chwili do zadania ciosu. Dzik kwiczał. Wreszcie Stach rąbnął dziką między uszy aż siekiera uwięzła w czaszce. Łeb zwierza opadł, Stach wyciągnął siekierę. Wbił mu jeszcze nóż pod gardło, wyjął i stał, ciężko dysząc. Podeszedłem bliżej, a za mną Jan. Robił się wieczór. Jan chciał rozpalić ognisko, lecz Stach się nie zgodził. Rozpruł brzuch dziką, zdjęliśmy skórę. Siekierą odciął obydwie zadnie nogi i obladowani po 50 funtów mięsa ruszyliśmy.

Po pół godziny drogi na wzgórkę zatrzymaliśmy się. Jan rozpalił ognisko, Stach wziął kociołek i przyniósł wody z bajorka nieopodal. Powiesił kociołek na patykach nad ogniskiem. Obok gara umieścił około pięć funtów mięsa. Ja podkładałem grube patyki. Stach się rozgadał: „Przy padlinie dzika nie wolno koczować, przyjdą wilki, żbiki i inne drapieżne, przed którymi trudno byłoby się obronić”. Zjedliśmy po dużym kawale mięsa z małym kawałkiem chleba, popiliśmy gorącą wodą. Rozpogodziło się, zbierało się na mróz. Zdecydowaliśmy zanocować przy ognisku. Jan zbierał chrust na opał. Staszek ścinał młode sosny i świerki, a ja znosiłem do ogniska. Później Stach zbudował szałas z wejściem w kierunku ogniska. Ułożył legowisko z drobnych gałązek choiny na łokieć wysokie, a następnie kazał nam kłaść się spać. Sam miał czuwać. Położyliśmy się z Janem, a Staszek wyjął mięso, poobrzynał od kości i wąskie płaty porozwieszał nad ogniskiem dla uwędzenia lub upieczenia. Około północy zbudził mnie i kazał pilnować ognia i mięsa. Zanim zasnął zapytałem go, gdzie się tego wszystkiego nauczył. Mówił, że w jego stronach są same lasy i bagna, że dużo polował. Uciekł przed wojną ze wsi, aby nie pójść do carskiej armii. Włączył się po lasach, a później na ochotnika wstąpił do polskiego wojska. Bolszewicy chwycili go do niewoli pod Połockiem. Półtora roku spędził w łągrach, a pamiętnej nocy był w Istrińskim Teatrze. On wiedział, kto krzyknął, że Polska nigdy nie będzie waszym Priwiślańskim Krajem. To krzyczał Jan. „Pytałem w wagonie – mówił – kto to taki. Ktoś powiedział, że to bolszewik, był w Armii Czerwonej. Może przeciw naszym walczył, ale za to, co zrobił w

teatrze polubiłem go. Co mi tam, może z niego i bolszewik czy komunista, ale Polak z niego prawy”. Staszek był mrukiem, ale tym razem się rozgadał: „Mówił mi kiedyś Kosma Chwedoruk «Ej Saszka, Saszka z ciebie to prawdziwy bradiaga» i nie mylił się stary, bo teraz jesteśmy bradiagami i uciekamy przez tajgi Syberii. Nie wiemy, gdzie iść i co robić. Wcześniej czy później będziemy musieli wyjść do ludzi, a tam mogą nas złapać, chyba, że wcześniej...”. I nie dokończył Saszka. Usnął. Podłożyłem do ognia. Oparłem się o karabin i patrząc w ciemną noc rozmyślałem. „Gdzie mnie losy poniosły, o tysiące wiorst od Polski? Co mnie jeszcze w życiu czeka?” Myśl uleciała do ojczyzny, do Białołbrzeg, do ojca i matki. Łza stanęła w oku. Zacząłem mówić pacierz. Rzadko ostatnio się modliłem, a często słyszałem jak Saszka wdychał „Hospodin pomiluj”. Z zadumy wyrwał mnie daleki głos wilka. Później jeszcze kilka razy słychać było wycie.

Rano ruszyliśmy dalej. Las stawał się rzadszy, a pod nogami wyczuwało się kamienie. Około południa natrafiliśmy na ślady sań, co oznaczało, że gdzieś w pobliżu są osiedla ludzkie. Poszliśmy po śladzie sań. Może po pół godzinie słychać było szczekanie psa i stuk siekier. Staszek z karabinem wysunął się na przód, a myśmy stanęli za drzewem. Po chwili Stach wrócił i oznajmił, że dwóch ludzi ścięło drzewo i teraz ładują na sanie. Jest z nimi pies. Wyglądają na Rosjan. Ruszyliśmy w kierunku drwali. Gdy byliśmy 50 kroków od nich, wyskoczył przeciw nam kudłaty pies i zaczął na nas ujadać. Drwale rzucili robotę. Starszy z nich podniósł spod drzewa strzelbę, drugi trzymał siekiere w rękę. Jan ruszył do



przodu i powiedział: „Sława Bogu!”. „Na wieki” – odrzekł chłop i zaraz groźnie zapytał – Kto jesteście i co tu robicie w lesie?

Jan się roześmiał i rzekł:

– Odlóż tę armatę, bratku, bo wilki wystraszysz z lasu. Kto my? Ludzie tak jak ty. Podróźni jesteście, o drogę pytamy.

– Ha, – rzekł chłop – podróżni... Zaraz widać, że wy bradiagi. Witajcie, witajcie – zdjął czapkę i uklonił się – A dokąd wy chcecie iść? Tu tajga, dalej góry, rzeki. Ni sioła, ni miasta, jeno las i bagna. W złym kierunku idziecie. Tam, – wskazał kierunek na północ, skąd my przyszliśmy – tam jest kolej, na kolei stacja.

– A wy skąd? – spytał Jan.

– Ot, ja z sioła Siemionówki, niedaleko stąd.

– A duża to wieś?

– Ot, duża.

– A wojsko we wsi jest?

– Et, skąd tu wojsko? Czasem przejadą na koniach, jak coś węższą. Teraz nie, spokojnie.

– A Polaków-bradiagów u was we wsi nie było?

– Nie.

– I nie mieszkają Polacy we wsi?

– Nie, ale tu niedaleko jest chadziajstwo, tam trzeba wam się udać. Bogaty chadziaj, Polak z pochodzenia. Może u niego spotkacie kogoś.

– A daleko stąd do tego chutoru? – pytał Jan.

– Niedaleko. Na wieczór dojdziecie. A ja wam drogę wskażę. Idźcie na wschód, pod górę. Później teren będzie się obniżać, aż z lasu wyjdziecie na łąkę. Środkiem płynie rzeczka. Idźcie jej brzegiem, to dojdziecie do chutoru. – Stary wyjął kapciuch z tytoniem, ukręcił papierosa, podał Janowi i rzekł – A kuric chcecie?

Ja skorzystałem i zapaliłem. Przyj-

rzałem się drwalom. Stary wysoki, brodaty, w kozuchu na zgrzebnej koszuli. Młody, może osiemnastoletni, w waciauku. Obaj w walonkach. Włochaty, drobny koń stał zaprzęgnięty do sanek.

Jan podziękował i poszliśmy dalej we wskazanym kierunku. Las był coraz rzadszy. Teren wznosił się, a później zaczął opadać. Wreszcie ukazał się bezleśna dolina. Na łąkach stało kilkanaście stogów siana. Środkiem wiała się rzeka. Poszliśmy w dół rzeczki. W oddali na łące ukazały się drzewa i duże ogrodzenie z drągów świerkowych. Za ogrodzeniem biegło kilkanaście młodych koni. Kiedy podeszliśmy bliżej, to zauważyłem, że to same źrebaki jedno i dwuletnie. Koszara przylegał do gęstych drzew, widocznie owocowych, wśród których widać było zabudowania. Duży szeroki dom z drewnianym kominem (dymnikiem), z boku ogromne szopy czy obory. Koło domu dużo sągów drewna topolowego. Weszliśmy w szerokie podwórze, ogrodzone między budynkami wysokim na chłopa płotem z desek. Jak się później okazało, nie z tarcicy, lecz z desek szczypanych. Obskoczyło nas stado psów tak, że musieliśmy cofnąć się za bramę, bo by nas poszarpały. Od ganku rozległ się gwizd i psy pognały pod ganek. Weszliśmy w podwórze. Na ganku stał wysoki, z siwą brodą człowiek. Był w koszuli, rubaszce i kozuchu, zarzuconym na ramiona. od szopy ukazało się kilku młodych mężczyzn. Patrzyli na nas nieufnie. Na czoło wysunął się Saszka, zdjął czapkę, uklonił się i rzekł:

– Sława Bogu.

– Sława Bogu – powtórzył starzec. – A kogo Bóg prowadzi w moje progi?

– Podróźni, bradiagi, Polacy – odrzekł Stach.

Stary spojrział jakoś dziwnie, skłonił się i rzekł po polsku:

– Witajcie rodacy. Proszę do świetlicy. – Kłaniał się i gestami zapraszał do środka.

Przeszliśmy dużą, mroczną sień i weszliśmy do dużej izby z kilkoma okienkami, przez które wpadały promienie zachodzącego słońca. Na środku stał stół okryty jakimś obrusem, a dookoła drewniane, rzeźbione krzesła. Pod ścianami stały ławy, pokryte końską skórą. Siadłem i rozglądałem się po ścianach, na których wisiały ikony, a wśród nich nieduży poczerniały obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Zrobiło mi się jakoś dziwnie tęskno. Od dawna nie byłem w chłopskiej chacie i to do tego polskiej chacie daleko od ojczyzny, w tajgach Sybiru. Czy to od gorąca, buchającego z pieca, gdzie palił się ogień, czy ze zmęczenia zacząłem drzemać i niewiele słyszałem z rozmowy Jana i Stacha z gospodarzem. Z odrętwienia wyrwało mnie światło, wniesione przez starszą pulchną kobietę. Ukłoniła się i w milczeniu postawiła duży kagamek, rodzaj lampy ze szkłem i kloszem. Następnie młode kobiety wniosły w glinianych misach gorące kasze, mleko, gotowane ryby, chleb i dzban z jakimś napojem.

– Ha – rzekł stary – Jak mawiał mój dziad: „Gość w dom, Bóg w dom”. Prosimy na wieczerzę. Odstaw tę swoją gwintówkę, tu ci nie będzie potrzebna.

Dopiero teraz zauważyłem, że karabin trzymam oparty między kolanami. Odstawiłem w kąt karabin i spojrzełem na ręce. Przypomniało mi się, że nie myśliśmy się od kilku dni. Gospodyni przyniosła drewniany szaflik, w wiadrze wodę i ręczniki. Pierwszy zrzuciłem płaszcz oraz mundur i

umyłem ręce i twarz. Za mną zrobili to koledzy. W tym czasie do stołu zeszła się cała rodzina: pięciu młodych mężczyzn, cztery kobiety oraz Agata – żona gospodarza. Drewniane łyżki poszły w ruch. Jedli po dwoje z jednej misy a my we trzech też z jednej. Gospodarz nalał nam w gliniane garnuszki wina, prawdopodobnie domowej produkcji i zaczęliśmy rozmawiać. Wcześniej Jan opowiedział, kim jesteśmy i skąd się tu wzięliśmy. Teraz gospodarz przedstawił nam swoją rodzinę. Miał trzech żonatyh synów: Wiktor, Piotr i Jan oraz dwóch siostrzeńców: Igor i Siemion. Trzy synowe i dorosłą, jeszcze niezamężną, ale zaręczoną córkę oraz pięćoro wnucząt. Wszyscy mieszkają razem i prowadzą duże gospodarstwo. Ziemi uprawnej mają mało, dużo łąk, a lasów i wód – ile dusza zapagnie.

Po kolacji zaprowadzono nas do łaźni. Gospodyni dała nam czystą bieliznę, a naszą kobiety uprały, żeby się wszy nie rozlażyły. W tej samej świetlicy pościelono nam wiązki siana i dużo skór baranich. Spaliśmy do południa. Tak wygodnie nie spałem już od lat. Następnego dnia przy śniadaniu gospodarz spytał nas, co zamierzamy czynić dalej. Jan odrzekł, że chcemy dostać się za Ural do Rosji, a stamtąd do Polski. Gospodarz objaśnił nam, że zimą zginiemy w tajdze a na kolei nas pochwyca i czeka nas katorga. Należy poczekać do wiosny, a przez ten czas może uda się odstawić nas do Moskwy. Tłumaczyliśmy mu, że nie mamy czym zapłacić za gościnę. Roześmiał się i powiedział: „Odrobicie. Roboty u nas jest dużo. Darmo jeść nie będziecie”. Zgodziliśmy się na to.

Później dowiedziałem się, skąd tu ta rodzina się wzięła. Dziad obecnego

gospodarza pochodził z zaściankowej szlachty spod Białegostoku. Studiował architekturę, lecz za udział w powstaniu został skazany na katorgę. Po odbyciu kary wracał z Czity. Był już po czterdziestce. Miał trochę grosza, hułał z Kozakami po stacjach i zajazdach. Przypadkowo zabłądził do Siemionówki, wsi kozackiej. Tutaj przehułał resztę pieniędzy. Ożenił się z wdową po sotniku kozackim, który zginął gdzieś na wojnie. Żyli spokojnie parę lat. Stanisław Grab, bo takie było rodowe nazwisko dziada, był budowniczym. Jeszcze w Czicie planował budowy, znał się na ciesielce, stolarce, itp. Gdy dorosły dzieci wdowy, stary Grab musiał odejść z kozackiego gospodarstwa. Zbudował dom za wsią. Żona miała trochę złota po sotniku. Zbudowali młyn nad rzeką. Mieli jednego syna. Ojciec naszego gospodarza, Grzegorz miał czworo dzieci. Na młynie pozostał starszy brat – Jan, dwoje poszło do szkół i w świat, a Michał – nasz gospodarz prowadził hodowlę koni. Miał umowy z pułkiem kozackim, który odbierał konie od pana Michała i dobrze płacił. Obecnie pan Michał z rodziną hodował sto osiem koni, trochę owiec i kilka krów. Cały ten teren łąk był przydzielony panu Michałowi przez władze wojskowe. Stogi, które widzieliśmy po drodze były własnością Grabów. Dziad tęsknił do ojczyzny, a dla syna i wnuków Polska była czymś egzotycznym. Jedynie mowy polskiej uczono dzieci i czasem w domu rozmawiano po polsku. Jeszcze dziad, z konieczności, przeszedł na prawosławie, a jego syn, wnuki i prawnuki normalnie modlili się w cerkwi.

Spędziliśmy u Grabów całą zimę. Raz tylko mały oddział wojska zawitał do chutoru dla wymiany koni. Byłem

kilka razy we wsi i w cerkwi. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Wiktor zapytany przez kogoś o mnie, powiedział, że to kuzyn, który przyjechał w gości. Stach z Janem Grabem często włóczyli się po tajdze, polując na zwierzęta dla futer i mięsa. My z Janem rąbaliśmy drewno, pomagaliśmy przy młocce a przede wszystkim przy obrzędku koni. Całą godzinę albo i dwie ciągnęło się wodę żurawiem ze studni, gdy rzeka zamarzła. Wozilo się siano ze stogów do stodoły. Łowiliśmy ryby w pobliskim jeziorze, wyrąbując przeręble. Wieczorami po kolacji opowiadaliśmy o Polsce, o wojnie, o Piłsudskim. Jan opowiadał o historii Polski, Rosji i o obecnej sytuacji w państwie bolszewickim, o którym Grabowie niewiele słyszeli. Najmłodszy Jan Grab był na wojnie w Mandżurii. Stamtąd przywiózł sobie żonę - Taję. Była to drobna, śliczna kobieta. Pięknie śpiewała i tańczyła. Była ulubienicą całej rodziny. Po pięciu latach nie mieli dzieci. Byłem po prostu oczarowany tą kobietą. Jan uczył pisać i czytać po polsku dzieci Piotra i Wiktora. Uczyła się tej sztuki i panienska Helena. We wsi był sklep, lecz kupiec zdzierał z ludzi skórę. Brał trzykrotnie wyższe ceny niż sklepy w mieście. Ludzie kilka razy w roku jeździli do miasta. Grabowie też się wybierali po zakupy. Umawiało się kilku ludzi i karawana złożona z pięciu-sześciu sań jechała do miasta, odległego o dwa dni drogi. Pojechałem i ja. Wiktor załadował jedne sanie skórami, miodem, grzybami i jeszcze czymś tam. Drugie załadowane sianem i zbożem dla koni prowadziłem ja. Wiktor był uzbrojony w karabin, nóż i siekiere. Ja też wiozłem karabin. Było to przed Bożym Narodzeniem. Spisano długie listy zakupów. Po kobiece sprawunki jecha-

ła Taja. Owinięta od stóp do głowy w skóry. Siedziała w sianie i szczebiotała całą drogę. Podróż mieliśmy spokojną. Konie pędziły całą drogę drobnym kłusem. Kupiliśmy sól, naftę, proch i ołów. Wiktor kupił wóz, który z powrotem jechał na moich saniach. Taja wiozła trzy duże toboły z zakupami. Jechało się etapami i na noc trzeba było zdążyć do zajazdu, gdzie były stajnie dla koni oraz bezpieczne schronienie dla wozu czy sań z towarem. Na popasach czy w zajazdach piło się herbatę, wódkę, zagryzając wędzonym mięsem. Na drogę byłem opatrzony paszportem Jasia Graba na wypadek kontroli. Podróż odbyła się bez przygód. Wróciliśmy cali i zdrowi z pełną listą zakupów. Największą uciechę miały kobiety i dzieci, dla których Taja nakupiła różnych świecidełek i fatalaszków.

W okresie świąt zjawił się w chutorze narzeczony Heleny. Był to postawny i przystojny mężczyzna około trzydziestki. Był jakimś wyższym urzędnikiem na kolei. Jeździł od Moskwy do Irkucka. Stary pan Michał odbył z Borysem, bo tak miał na imię, poufną rozmowę, a później oznajmił nam, że uda się przewieźć nas koleją pod Moskwę. Na razie jednak musimy poczekać. Borys da znać, kiedy będzie ku temu stosowna okazja. Po kilku dniach Borys wyjechał, a nad tajgą srożył się wichur, mróz i śnieżyce. Do stajni, stodół i szop z sianem nasypało śniegu. Na podwórku kopaliśmy kanały, którymi się chodziło. Śniegu było na metr i więcej. Najbardziej pokrzywdzeni taką pogodą byli Jaś Grab i Saszka, gdyż nie mogli ruszyć w tajgę na polowanie. Wiatry i śnieżyce ustały, lecz chwycił mróz tak wielki, że trudno było oddychać. Splunąłeś, to na ziemię spadała grudka lodu ze śliny. W

takie dni w świetlicy robiło się sieci, powrozy i liny. Reperowało się uprzęż lub szyło nową ze skóry dzika. Osadnicy w tajdze cały sprzęt musieli robić sami. Widły, grabie, wiadra, beczki, konewki, kosze, sanie. Sami wyprawiali skóry, robili buty, czapki, kozuchy. Pomimo strasznej zimy, roboty było huk. Jak na wstępie powiedział nasz gospodarz, darmo chleba nie jedliśmy.

W początkach marca zjawił się po nas Borys. Nadarzała się okazja. Będzie przejeżdżał do Moskwy transport jeńców z Mandżurii, przeważnie Chińczyków. Będzie więc można razem z nimi przewieźć i nas. Na drugi dzień mieliśmy odjechać, tymczasem Saszka był na polowaniu. Wybrali się z Jasiem gdzieś daleko, bo już trzeci dzień nie wracali. Kobiety suszyły dla nas chleb na suchary, szykowały ciepłą bieliznę i stare łatanne kozuchy czy watowane spodnie, abyśmy wyglądali biednie. Czas naglił. Pożegnaliśmy gościnną rodzinę Grabów ze łzami w oczach. Stara pani Agata przeżegnała nas krzyżem świętym, a ja pierwszy i ostatni raz pocałowałem Taję, w której byłem zakochany. Chociaż nieraz miałem ku temu okazję, nie chciałem Jasiowi uwieść żony. Taja rozplakała się i uciekła do chałupy. Młody Igor, siostrzeniec Michała odwiózł nas trójką saniami do stacji, gdzie mieliśmy czekać na transport. Odjeżdżało nas dwóch: Jan i ja. Saszka został. Więcej go w życiu nie widziałem i nie słyszałem o nim. Wprawdzie później z Moskwy wysłałem list, donosząc (na prośbę Tai) o tym, że dojechalśmy szczęśliwie. Być może list nie doszedł, bo wkrótce na Syberii wybuchły walki związane z rewolucją i kontrrewolucją. Odpowiedzi nie otrzymałem. A i ja miałem różne przygody.

W nocy na stacji zatrzymał się transport, wiozący więźniów. Wepchnięto nas do wagonu. Pociąg ruszył i jechaliśmy na zachód. Dopiero w dzień zobaczyłem, że więźniami byli nie Chińczycy, lecz Rosjanie (białogwardziści), Czesi a nawet jeden Polak. Wszyscy oni byli zwolennikami dawnego ustroju i wieziono ich do Centralnej Rosji, aby nie podburzali ludności na Syberii. Oczywiście nasze paczki z prowiantem na dwa tygodnie stopniały w przeciągu dwóch dni. Jednodniowe racje żywnościowe dla jeńców nie wystarczały żeby raz dobrze się najeść. Po dziewięciu dniach jazdy i postojów zjawił się w wagonie Borys i powiedział, że jesteśmy pod Moskwą i w nocy na jakiejś stacji przyśle po nas strażników, niby na przesłuchanie. Będzie umówione, strażnicy wejdą do budynku stacji, a my furtką mamy przejść i uciekać, dokąd chcemy. Na tym jego opieka nad nami się kończy. I tak się stało. Była odwilż. Przeszliśmy z Janem koło budynku stacji i wolno, pustą ulicą szliśmy w nieznanym miasteczku. Za chwilę pociąg odjechał. Byliśmy wolni i w Centralnej Rosji, skąd było już blisko do Polski. Szliśmy do końca ulicy. Za miasteczkiem, polną dróżką, porozjeżdżaną saniami. Mokry śnieg utrudniał marsz. Rozwidniło się, a my szliśmy dalej. Przed nami ukazała się wioska.. Ominęliśmy ją bokiem i skierowaliśmy się do chaty pod samym lasem. Chcieliśmy zasięgnąć informacji i pożywić się, bo głód dawał o sobie znać. Stanęliśmy przed drewnianą chatą, obok obórka i niewielka szopa. Drzwi były uchylone. Wszedłem do sieni i do mieszkania. Młoda, ładna kobieta płukała szmaty w drewnianym wiadrze.

- Sława Bogu - rzekłem. Kobieta coś

mruknęła a na piecu odezwał się gruby męski głos.

- Sława. A kogóż to czort prowadzi?

- Podróźni jesteście, zziębnięci i głodni - odrzekłem.

- A wędrowcy, dzisiaj wszędzie podróżni, wędrowcy, bradiagi. A głód - nie nowina. Cała Rosja dziś głodna od chwili, gdy cara batiuszkę do piekła odstawili. Wszystkie nieszczęścia na Świętą Ruś spadły. Wojny bratobójcze, pożogi, mordy, choroby, pomory i jeszcze tych antychrystów mamy na karku - biadolił siwy starzec, siedzący na piecu w koszuli i białych gaciach.

- Cicho bądź dziadku - rzekła kobieta - bo nie wiesz do kogo mówisz. Może to bradiagi, a może czekałsi i nieszczęście ściągniesz na nas i na siebie. Siadajcie - rzekła. Wyjęła z pieca garnek z gorącymi ziemniakami, naląła do glinianej misy mleka i postawiła na stołku przed nami. Dołożyła jeszcze dwie cebule. - Chleba nie mamy, jedynie kartoszki.

Dziad zapytał, dokąd idziemy. Odpowiedziałem, że do majątku Kozłowa i zapytałem, czy to daleko stąd.

- Będzie ze dwie wiorsty. Dzisiaj nie dojdziecie, bo droga paskudna, zaczyna padać deszcz.

Dowiedzieliśmy się, że syn starego a mąż kobiety poszedł do Moskwy na zawod. Przyjeżdża w co drugą niedzielę zmienić bieliznę i rusza z powrotem. Dwoje dzieci w szkole a stary jest na wpół ślepy i tylko kłopot z nim.

Wypytawszy o drogę do Kozłowa, podziękowaliśmy za posiłek i ruszyliśmy dalej. Wychodząc z obejścia wpadliśmy wprost pod konie kilku jezdnych czekistów. Otoczyli nas i pytają o paszporty. Oczywiście nie mieliśmy żadnych dokumentów. Związali nam ręce i pognali przed sobą do urzędu.

Tam komisarz pytał kim jesteśmy, co tu robimy. Jan milczał cały czas. Ja zaryzykowałem i powiedziałem, że jesteśmy polskimi jeńcami i chcemy się dostać do Polski. Zaśmiał się komisarz i powiedział – Ja wiem, kto wy jesteście. Kontrrewolucjoniści. Uciekliście z transportu syberyjskich białogwardzistów. I do nich was odstawimy. - Komisarz wyglądał na porządnego człowieka. Rozgadał się i poczułem do niego zaufanie. Zacząłem go prosić.

– Żołnierz jestem jak ty. Walczyłem o wolność mojej ojczyzny. Dostałem się do niewoli. Chcieliśmy się wydostać stąd. Puść nas. Dojdziemy do swego kraju. Co wam po nas? U was i tak głodno. Bądź człowiekiem.

Wysłuchał i odrzekł:

– Wierzę ci, ale jestem żołnierzem i muszę wypełniać obowiązki, a ty tłumacz się przed sądem. Jeśli ci uwierzą, będziesz miał szczęście. A jeśli nie, to wiesz, co cię czeka. Zawisniesz.

– Dobrze, – powiedziałem – ale będziecie nas miał na sumieniu.

– Ha ha – zaśmiał się komisarz – A ty ilu masz na sumieniu? Byłeś dwa lata na wojnie. Ile dusz wysłałeś na tamten świat? Ilu naszych zabiłeś? I ty mi mówisz o sumieniu?

Rozgniewał mnie wreszcie, więc rzekłem – Czort z tobą. Rób swoje.

Wyjechaliśmy pod wieczór. Wsadzono nas na sanie i w nocy znaleźliśmy się w Moskwie w więzieniu. Dwa tygodnie trwały przesłuchania. Przesłuchiwano nas, Jana i mnie, razem i każdego z osobna. Jan był starszy. Przechodził już więzienia, zesłanie. Z niego niewiele mogli wyciągnąć. Ja byłem głupi w tych sprawach, a w urzędzie śledczym pracowali dawni kryminaliści, bywalcy różnych więzień, katorżnicy. Poradzili

sobie ze mną w ten sposób. Najpierw bicie, dziesięć batów, później dwadzieścia. Mdlałem. Wiadro wody na łeb i znów dziesięć batów. Milczałem. Następnego dnia w sali przesłuchań wisiał sznur. Wprowadzili nas. Najpierw pytają Jana, gdzie byłeś, co robiłeś. Jan milczał. Wreszcie śledczy krzyknął:

– Dość tego! Powiesić go!

Dwóch czekistów chwyciło Jana i doprowadziło pod sznur. Założyli mu pętlę na szyję, gotowi ciągnąć do góry. Wtedy sędzia pyta mnie.

– Powiesz, gdzie byliście albo kolega zawisnie, a po nim ty. – I krzyknął – Ciągnąć!

Zląkłem się i krzyknąłem:

– Nie! Stójcie! Będę mówił.

Puścili sznur, a ja opowiedziałem, jak było. Z wiecu zabrano nas do więzienia. Później wyrok. Katorga. Syberia. Skorzystaliśmy z okazji, że zatrzymano pociąg i uciekliśmy. Błąkaliśmy się po tajdze, od osady do osady, aż udało nam się na stacji Tataja wmieszać w tłum więźniów, jadących z Syberii do Moskwy i z więźniami przyjechaliśmy pod Moskwę. Udało nam się zwać na jakiejś stacji i na drugi dzień nas schwytano. Dopytywali się, w jakich wsiach byliśmy, u jakich ludzi. Kłamałem. Zmyślałem nazwy wsi i ludzi. Obiecali to sprawdzić. Znowu siedzieliśmy pojedynczo przez dwa tygodnie. Później przesłuchania przez cztery dni co noc. Bicie, woda, bicie, woda. Ponieważ nic z nas więcej nie wyciągnięto, postawiono nas pod sąd. Oskarżono nas o to, że we wrześniu 1919 r. dokonaliśmy prowokacji na wiecu; skazani na wywóz do Mandżurii, uciekliśmy z transportu zabijając trzech żołnierzy i rabując im broń; czyniliśmy rozboje po drogach i wsiach przez pięć miesięcy, po czym

wróciliśmy w okolice Moskwy razem z transportem syberyjskich więźniów. Za wymienione czyny zostaliśmy skazani na karę śmierci przez rozstrzelanie. Prosto z sali sądowej zamknięto nas w celi 27, słynnej celi śmierci. Było nas tam trzydziestu więźniów. Każdej nocy wyprowadzano po kilku i już nie wracali. Dostawaliśmy tylko makuch i wodę. Czekano się nocy z niepokojem, kogo wywołają. Byłem otępiały, nie myślałem o niczym. Z tego otępienia drugiego dnia wyrwał mnie głos strażnika. Głos, jakiego nie spodziewałem się w tym miejscu usłyszeć. Otóż strażnik otworzył okienko i po polsku powiedział:

- Chwała Bogu, są tu rodacy, będzie można po ludzku porozmawiać. Hej, Polak, chodź tu do okienka, porozmawiamy.

Nie bardzo orientując się, o co chodzi, podszedłem do okienka. Po drugiej stronie stał wąsaty, już posiwiwały strażnik i uśmiechał się radośnie.

- Chodź, porozmawiamy po polsku - rzekł - dawno już nie widziałem rodaka.

Wypytywał mnie, skąd się tu wziąłem, skąd pochodzę, za co zostałem skazany. Później otworzył drzwi i na korytarzu podzielił się ze mną swoją kanapką, kawałkiem chleba i rybą. Opowiedział mi też swoje dzieje. Nazywał się Antoni Mąka. Pochodził z Hajnówki. W 1909 r. stawał na losy i został wcielony do carskiej armii. Służył w Smoleńsku, później w Irkucku. Zwolniony w czternastym roku, wracał do domu. W drodze powrotnej, na skutek wybuchu wojny został znowu wcielony do armii. Walczył na kilku frontach, niemieckim, austriackim. Później rewolucja, Armia Czerwona. Wojna z Polską. Stosunki

zerwane. Musiał dalej służyć, aby żyć i otrzymywać kartki żywnościowe. Od dwóch lat służył w straży więziennej, bo, jak powiedział, nie chciał i nie mógł bić się z Polakami. Czekano na koniec wojny z Polską i uregulowanie stosunków, aby wrócić do Polski. Łzy kapwały staremu wojakowi, gdy opowiadałem mu o wyzwoleniu Polski, o Polskich Legionach i o polskim wojsku. Pocieszał mnie, że około dwóch tygodni życia mam przed sobą, więc może uda się coś dla mnie zrobić. Rozmawialiśmy długo w nocy i przypomniał mi się czekista major Malinowski i jego pomocnik Leon Kułak. Spytałem strażnika, czy nie słyszał o takim. Okazało się, że Antek zna majora i że w czasie rewolucji służył w jego brygadzie. Wy tłumaczyłem mu, gdzie mieszkał przed rokiem Leon i poprosiłem, aby dał mu znać o moim losie. Z chęcią się zgodził i powiedział, że sam pójdzie do Malinowskiego i będzie go prosił, by wyrwał rodaka z tego więzienia.

Po dwóch dniach znowu Antek Mąka miał służbę. Wywołał mnie do separatki, dał trochę żywności i opowiadał. Był u Leona, powiedział mi o mnie. Oboje z żoną bardzo się zmartwili i postanowili prosić pułkownika Malinowskiego o pomoc dla mnie. „Poszliśmy do jego domu razem. Pułkownik wysłuchał nas. Potem zaczął krzyżeć, kląć a w końcu obiecał, że zajmie się tym. Zapisał sobie twoje imię i nazwisko i powiedział, że zobaczy, co się da dla ciebie zrobić. Bądź dobrej myśli i jedz. To dała ci Lena, żona Leona. Znowu wstąpiła we mnie nadzieja, mimo, że co noc wysyłano kilku i już nie wracali. Po tygodniu zostało nas niewielu. Między innymi Jan i ja.

Tej nocy wywołano pięciu na roz-

strzał, a pół godziny później dwóch strażników wniosło do naszej celi dwa trupy zmarłych więźniów. Jeden ze strażników, Antek, kazał nam iść za sobą. Drugi został na korytarzu. Przed bramą więzienia stała kryta drożka. Wsiedliśmy do niej i po piętnastu minutach weszliśmy do mieszkania Leona i Leny Kułaków. Czekał tam na nas pułkownik Malinowski. To za jego sprawą tej nocy więzień Jan Smarzewicz i Henryk Osik zmarli na tyfus. Ciała ich zostały w więziennej celi śmierci, a na nas czekały już paszporty. Oczywiście spotkanie z pułkownikiem nie było dla nas przyjemne. Sklął nas, na czym świat stoi, a szczególnie mnie. Miał ten człowiek wyjątkową pamięć. Widział mnie przecież tylko dwa razy i to niedługo, a jednak pamiętał. Spojrzał na mnie groźnie i rzekł: „Ciebie to już trzeci raz widzę. Jeszcze cię kacapy nie zaciukały? Takiego wojaka nie powinna święta ziemia rosyjska nosić. Tylko kartkowy chleb marnujesz. Żołnierz Polski, który po raz trzeci daje się złapać kacapom, nie jest wart, by się z nim dłużej cackać. Słuszny był wyrok śmierci. Tylko czekał się z tobą za długo zwlekali. Ale jak mówi litewskie przysłowie, co ma wisieć, nie utonie. Więc i ciebie jeszcze radziecka sprawiedliwość nie ominie. A na razie masz tu paszport takiego samego plennego jak i ty. Tylko, że tamten był jeszcze głupszy, bo wstąpił do Czerwonej Armii. Od tej chwili nazywasz się Maciej Sanecki. Pochodzisz z Wiśniówki koło Lwowa. W 1914 r. zostałeś zmobilizowany do armii austriackiej. W 1915 wzięty do niewoli. Obóz jeniecki w Kijowie. W 1917 ochotniczo przystępujesz do rewolucji, wstępujesz do Armii Czerwonej. Bierzesz udział w wojnie domowej na Ukrainie,

Kaukazie, a ostatnio nad Donem. Dwukrotnie ranny. Zwolniony na rekonwalescencję na sześć miesięcy. Otrzymasz pracę w teatrze na Smolnej jako woźny. Jutro rano zgłosisz się do teatru. Tam po załatwieniu formalności otrzymasz kartki żywnościowe.”

Jan otrzymał paszport jakiegoś rosyjskiego obywatela i przydział do pracy w jednej z podmoskiewskich wsi w charakterze nauczyciela. Tymczasem Lena poczęstowała wszystkich herbatą i chlebem z marmoladą, a Leon jakimś mocnym bimbrem.

Malinowski podpił sobie, pogroził Janowi palcem i rzekł: „Hej, nauczyciel uważaj, aby cię nie spotkała taka przygoda, jak jednego nauczyciela pod Kurskiem.” I opowiedział nam dziwną historię: Był w pewnej wsi nauczyciel Iwan, starszy kawaler. Podobała mu się pewna kobieta. Próbował ją zdobyć, ale ona była zamężna i kpiała sobie z jego zalotów. Mąż jej, Aleksiej poszedł do armii w 1916 r. Tymczasem nauczyciel-komunista nie ustawał w zalotach. Małżonka długo się opierała, ale w końcu uległa. Aleksiej wrócił po rewolucji, gdy nauczyciel był już przewodniczącym Rewkomu. Żona wróciła do niego, tłumacząc, że Iwan wziął ją siłą. Jakiś czas sprawa przycichła, lecz po pewnym czasie Iwan postarał się, by Aleksieja ponownie zmobilizowano. I poszedł Alosza do Armii Czerwonej, gdzieś nad Don. Przyjechał na urlop, nie pokazując się nikomu. Złatował na Iwana. Chwytał go wieczorem, związał, zakneblował, wywiózł kilka wiorst od wsi i zrobił z niego chodzący krzyż. Uwiązał jeden drążek do rozłożonych rąk Iwana, drugi do pleców. w zęby wsadził mu patyk i puścił wolno. Iwan trzy doby chodził po polach. Ludzie się go bali i uciekali



od niego. Dopiero oddział Czeka uwolnił go z więzów." Wieczór zakończył się dla mnie zaśnięciem przy stole.

Rozpocząłem pracę w teatrze jako stróż. Sprzątałem, zmiatałem, paliłem w piecach. Później nauczyłem się usługiwać aktorom i gościom, szczególnie kobietom. Przydział żywności nadal był mały, chociaż urodzaj w tym roku w okolicach Moskwy był wspaniały. Szczególnie obrodziły kartofle i sady jabłoniowe. Rosja nadal jednak była głodna. We żniwa ludzie składali zboża w sterty, które ktoś w nocy podpalał. Ludność była niezadowolona z władzy radzieckiej, uważając, że ta władza jest przyczyną wszelkiej biedy. Tworzyły się bandy kontrrewolucyjne, wybuchały bunty, nieraz całych okolic czy narodów. Czekiści krwawo tłumili każdy przejaw niezadowolenia, wysiedlając całe zbuntowane wsie w głąb Syberii. Widziałem transport Tatarów Krymskich. Ludzie brzydzy, nędzni i brudni, a tak głodni, że gdy spotkali na stacji wagon z owsem, to rękami jedli razem z lupiną. Było plemię mongolskie „Samojedzi”, które podobno wywieźli na pustkowia i rozstrzelali. Tak, że przestało w ogóle istnieć.

Pracowałem wieczorami, w niedzielę i w święta, a całe dni miałem wolne. Włóczyłem się po ulicach i zaułkach, szukając zarobku, a przede wszystkim jedzenia. Kobiety rosyjskie są bardzo dobre. Widząc nędznego człowieka, nigdy nie odpędzały bez wsparcia (nakarmienia), chociaż wszyscy pod tym względem (żywności) byli biedni. Narąbało się drewna, poprawiło płot czy dach, a zawsze za to dostawało się coś do jedzenia. Moskwa wówczas była przeważnie drewniana. Dominowały budowle parterowe, ogrodzone

i rozległe. Dużo mężczyzn zginęło na wojnach. Wielu było w armii, więzieniach, na katordze. Gospodarowały i pracowały przeważnie kobiety, dlatego też chętnie zapraszały młodego plennego do różnych robót, a także dla rozrywki. Gdyby nie takie dodatkowe pożywienie, trudno byłoby wyżyć z kartek żywnościowych, które dostawałem. Później handlowałem głównie solą, na której można było nieźle zarobić. W końcu miałem dużo pieniędzy, porządne ubrania no i nie byłem, jak dawniej, wiecznie głodny.

W teatrze usługiwałem damom. Podawałem płaszcz czy futro, kalosze, kapelusz, itd. Wkrótce polubiły mnie aktorki i aktorzy. Szczególnie zaprzyjaźniła się ze mną pani Izatorska. Wziłem ją na występy do okolicznych wsi i miasteczek. Była trzydziestoletnią piękną kobietą, aktorką, śpiewaczką i działaczką propagandystką. Miałem z nią przygodę. Wracając z nią z występów w jakiejś wsi, złapała nas burza. Pioruny, wiatr, straszna ulewa, a tu gołe pola, nie ma schronienia. W oddali stała sterta zboża. Skręciłem końmi w jej kierunku, aby schować się przed wichurą i deszczem. Konie przytuliły się do sterty, wyciągając i gryząc słomę i kłosa zboża. Wyciągnąłem kilka snopów i w tak zrobionej wnęce schroniła się pani Izatorska i ja. Po godzinie deszcz ucichł. Pani usnęła, a ja poszedłem szykować konie do drogi. Nagle usłyszałem zdławiony krzyk i szamotanie. Obejrzałem się i zobaczyłem, jak kilku ludzi cisnęło się przy wnęce, w której spała pani Izatorska. Chwyciłem żelazny pręt od bryczki i skoczyłem w obronę aktorki. Jednego przez łeb, drugiego po ręce, aż mu opadła, a od trzeciego dostałem jakąś łagą, aż się prze-

wróciłem. Zakląłem po polsku i to nas uratowało, gdyż jednym z napastników był plenny, z którym kiedyś siedziałem w łągach. On uciekł z obozu i włączył się w okolicach Moskwy z jakąś bandą. Właśnie nocowali w stercie i obserwowali nasz przyjazd. Początkowo chcieli nas tylko obrabować, a później znęcała ich młoda kobieta i chcieli wykorzystać okazję. Właśnie Jasiek mnie poznał, odpędził kompanów i zaczęliśmy rozmawiać. Puścili nas wolno i wróciliśmy do teatru. Od tej pory pani Izatorska opiekowała się mną jak starsza siostra.

Poznałem też dziewczynę, Rosjankę. Dasza jej było na imię. Prowadziła sklep spożywczy wraz z ojcem, Jegorem Sakajewem, zwanym chromym Jegorką, gdyż kulał na jedną nogę. „Pamiętka z wojny tureckiej”, jak sam mawiał. Przynosiłem im często sól z magazynów, do których miałem dostęp. Za funt soli dostawałem dziesięciokrotnie więcej. Z biegiem czasu zakochałem się w Daszy i mieliśmy zamiar się pobrać. Dobrze mi było w Moskwie. Zapomniałem o tym, że byłem jeńcem. Zapomniałem o rodzinie, o Polsce i o dalekich Białobrzegach. Czuję się wolny, miałem rosyjski paszport, przyjaciół i kochaną Daszę. W ogóle wiodło mi się nie najgorzej. Wszystkie wolne chwile spędzałem w domu Sakajewów, gdzie był ogromny dostatek wszystkiego. Przez sześć głodnych lat mojego pobytu w Rosji, pierwszy raz dostatek żywności widziałem u rodziny Grabów na Syberii, a drugi raz u chromego Jegorki. Obżerałem się u nich do syta. Na Święta Bożego Narodzenia zaprosił mnie stary Jegor w gości. Było to na początku naszej znajomości. „Przyjdź do nas – powiada – zarzniemy bolszego kabana. Będzie miał ze sześćdziesiąt funtów.

Dasza wyhodowała go w komórce piwnicy domu.” I rzeczywiście zarznąłem i rozprawiłem im to prosię. Mogło mieć ze trzydzieści kilo. Od lat nie jadłem takich przysmaków, jak w te święta.

Jadąc raz przez Moskwę zobaczyłem jak stary człowiek poprawia koło u wozu zaprzężonego w konia. Pomogłem staremu. Zdjęliśmy koło, poprawiliśmy i założyliśmy z powrotem. Stary chciał mi dać rubla, ale odmówiłem. Wyjął więc flaszkę z wódką i kawał kiełbasy, nie spotykanej w Moskwie, i mnie poczęstował. Zaczęliśmy rozmawiać. Od wozu ogromnie śmierdziało. Stary rozgadał się. „Chcesz zarobić – mówi – przychodź do mnie. Robota śmierdząca, ale jak zechcesz robić, możesz zostać milionerem”. Moskwa wówczas była nie skanalizowana, a stary wywoził nocami nieczystości z ustępów i dołów kloacznych. Zarabiał przy tym bajeczne pieniądze. Miał wóz, konia i kufę, rodzaj skrzyni z przykryciem. Pracował tylko w nocy. Nęcił mnie zarobek, ale miałem swoją pracę i obowiązki. Pomagałem więc czasem staremu, gdy chciałem zarobić trochę grosza.

Często odwiedzałem Leona Kula. Pewnego razu Leona nie było, a Lena zaczęła mi się skarżyć. „Wojna z Polską skończona. Został podpisany pokój i układ, na mocy którego będzie wymiana jeńców. Polacy mogą wyjeżdżać z Rosji Sowieckiej. Leon chce jechać do Polski.” A ona nie wie, co ma robić. Zostać, czy jechać w nieznaną z mężem. Mają przecież dwoje dzieci, a mąż już się stara o wyjazd. Leon wrócił ucieszony, bo Malinowski dopomógł mu w uzyskaniu zezwolenia na wyjazd. „Jeśli chcesz – powiada – to i tobie załatwi. Zapytałem, czy Malinowski nie wyjeżdża. „Jakiż tam z niego Polak

- powiedział Leon o pułkowniku - on tylko ma polskie nazwisko. Rodzina od niepamiętnych czasów osiadła w Rosji. Nie ma do kogo i do czego wracać. Ja to jadę do Bork. Lena się zgodzi, bo mnie kocha i pojedzie ze mną."

I Leon z żoną wkrótce wyjechali. Wyjechał jeden transport jeńców, potem drugi a ja się nie zgłaszałem do wyjazdu. Zostałem i nie miałem zamiaru wyjeżdżać z Rosji. Miałem dziewczynę, dużo pieniędzy i było mi dobrze. Dzięki Daszy Jegorownej nie byłem już głodny. Zresztą w całej Rosji Bolszewickiej sytuacja się poprawiła. Trwały wprawdzie jeszcze gdzieś bunty i rozruchy, ale już na mniejszą skalę. Ludzie wrócili do pracy na roli i jako tako naród się żywił. Zresztą kobiety rosyjskie to skrzętne gospodynie. Widziałem kiedyś na wsi, że nawet nać buraków, czy rzepy płukały, kisiły i robiły z tego całkiem dobre potrawy. Tam nic się nie marnowało. Orzech, grzyby, jagody krzewów takich jak tarnina, jarzębina, buczyna były zbierane i przerabiane na żywność. Sam jadłem kiedyś pierogi z kaliny i były bardzo dobre.

Ta zima w Rosji, w Moskwie była sucha i bardzo mroźna. Termometr rzadko kiedy wskazywał powyżej -30°C. Zwykle było cicho, bez wiatru. Gdy szło się rankiem przez Moskwę, to trzeba było twarz zasłaniać, bo nie dało się oddychać. Pracowałem nadal w teatrze. Kościoły, cerkwie czy meczety były pozamykane, a ludzie zamiast na nabożeństwa szli do teatru. Przeciętny człowiek w Rosji miał dwa ubrania: kombinezon roboczy na lato i kufajkę na zimę. W tym szedł do pracy i do teatru czy też w gości. Wkrótce sielanka dla mnie się skończyła. Jegor został aresztowany za nielegalny han-

del. Później i Daria. Sąd i wyrok. Jegor skazany na dwadzieścia lat więzienia. Daria na piętnaście. Majątek skonfiskowany. Byłem zrozpaczony. Staralem się odwiedzić Daszę w więzieniu, ale mi nie pozwolono. Dostałem natomiast wezwanie do urzędu CzK-a na zeznania. Pytano, co łączyło mnie z rodziną Jegorki. Później ktoś mi doradził, abym wyjechał, gdyż mogę być posądzony o współudział. Trochę z rozpacz, trochę ze strachu, a resztę za poradą pułkownika Malinowskiego, zgłosiłem się do urzędu repatriacyjnego o zezwolenie na powrót do Polski. Miałem z tym trochę kłopotu, gdyż nosiłem nazwisko Macieja Saneckiego i miałem obywatelstwo Rosyjskie. Lecz jako Polakowi z pochodzenia, pozwolono mi wyjechać.

W czerwcu dostałem rozkaz wyjazdu do Smoleńska na punkt zborny. Tam już było około tysiąca chłopca i szykował się transport do Polski. Spotkałem tam dwóch chłopaków z naszej parafii. Byli to: Grzegorz Sokolek z Osowna i Józef Sikora z Talczyzna. Sokolek grał na bałalajce i śpiewał, a Sikora to wielki gawędziarz. Opowiadał kawały i śmiał się grubym głosem, prawie basem. Zawsze skupiało się wokół nich dużo ludzi i słychać było albo śpiewy, albo śmiech. Obaj byli jeńcami, jak ja. Sokolek, gdzieś na południu Rosji, był pasterzem, a Sikora pracował w kołchozie. Wkrótce dogadaliśmy się i trzymaliśmy się razem. Ja miałem trochę majątku w dwóch walizkach. Sikora był goły i w podartych portkach, a Sokolek poza bałalajką też niewiele posiadał. Dożywiałem ich przez te trzy dni na punkcie zbornym. Na granicy urząd celny zabierał wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Nawet dobre spodnie czy buty trzeba

było zdjąć i zostawić. Za to dawali podarte łachy. Śmiali się z nas bolszewicy, że wracamy do Polski, gdzie same burżuje, to nam niczego nie zabraknie. Mnie zabrali wszystkie ciuchy, zegarek, a nawet brzytwę w srebrnej oprawie. Trochę złota udało mi się przemycić w kroku, w małym woreczku. Ze Smoleńska do Białegostoku i do Łukowa. Na granicy dostaliśmy po parę złotych na drogę i życie na trzy dni. W Łukowie zaszedłem do starostwa zobaczyć, czy nie ma jakiej furmanki w naszą stronę. Był sołtys z Talczyna, Janasz i obiecał nas zabrać. W Talczynie Janaszowa dała nam kolację. Sokolek poszedł do Osowna a Sikora i ja do Wólki, do szynku. Tam popiliśmy zdrowo i w nocy odwiózł mnie furmanką młodszy brat Sikory, Stasiek.

W Białobrzegach po nocy trafiłem do ojcowskiego obejścia. Dom stał jak dawniej, obórka też. Tylko stodoła była nowa i wysunięta nieco dalej. Robił się dzień. Nie stukąłem do chałupy. Otworzyłem wierzeje stodoły, wlałem na siano. Tam przykryty gałganami spał chłopak. Domyśliłem się, że to młodszy brat Antek. Szturchnąłem go i powiedziałem żeby się przesunął. Antek rozespany krzyknął „Wszelki duch Pana Boga chwali”, zerwał się i uciekł ze stodoły. Wpadł do domu, zbudził rodzinę i zaczął opowiadać, że Henryk albo jego duch wrócił i położył się obok niego na sianie. Ja zaraz zasnąłem. Gdy zrobiło się widno, ojciec, za nim matka, siostry Monika i Weronka przyszli do stodoły zobaczyć, jaki to duch tak Antka wystraszył. Zobaczyli, że rzeczywiście ktoś śpi na sianie. Koło południa zszedłem z siana. Na progu stodoły powitał mnie ojciec. Ze łzami w oczach wyszeptał: „Synu wróciłeś a myśmy już

ciebie oplakali i pogrzebali”. Przypomniało mi się, że ja nigdy nie pisałem listu. Zresztą z Rosji podczas wojny było to niemożliwe. Do domu przyszło z frontu pismo „Zginął za ojczyznę w bliżej nieokreślonych okolicznościach”. Pobożni rodzice odprawili nabożeństwo pogrzebowe. Później odprawiały się msze święte „gregorianki” za spokój mojej duszy. Aż tu nagle wracam cały i zdrowy. Radość w domu była ogromna. Jak odjeżdżałem, to brat Antek i siostry były małe a teraz Antek – kawaler, dwadzieścia jeden lat, siostry – panny. Najmłodszy Józef już w gimnazjum w Siedlcach, a Helena – podłotek. Przychodzili sąsiedzi, cała wieś, jak na jakiś cud, bo „Henryk Osików dawno uważany za zmarłego wrócił z Rosji Bolszewickiej”.

Cale lato nie mogłem się przystosować do nowego środowiska. Sześć lat: dwa na wojnie, cztery w niewoli, zrobiły swoje. Wciąż myślałem o Daszy. Miałem wyrzuty sumienia, że ją opuściłem w biedzie. Byłem mrukliwy, nietowarzyski. Odzwyczaiałem się od prac polowych. Nie chodziłem do kościoła, ku utrapieniu mojej matki. Słowa moje były wulgarne, więc wkrótce nazwano mnie „Bolszewikiem”. Miałem trochę grosza i popijałem w szynkach, aż się mną władze zainteresowały. Obawiano się, czy przypadkiem nie stałem się komunistą i wywrotowcem. Wkrótce ojciec, człowiek mądry, postanowił mnie ożenić. Dogadał się z Andrzejem Czajką, bogatym młynarzem, który posiadał wiatrak i dorosłą córkę Anielkę. Napomniał mi ojciec o tym, ale mnie nie była w głowie żeniaczka. Myślałem o wyjeździe z powrotem do Rosji. W rodzinnym domu czułem się źle. Kupiłem więc trzy morgi i budynki od

Duli w Talczyńcu i postanowiłem się przeprowadzić. Byłem raz na wiatraku i przyglądałem się Jędrzejowi Czajce. Człek był wysoki, pewny siebie i krzykliwy. Zrobiłem coś nie tak i zaczął na mnie krzyczeć, wyzywać od Bolszewików. Rozgniewało mnie to. Miałem pod ręką w ćwiartce drewnianej otręby, więc nie namyślając się założyłem staremu ćwiartkę z otrębami na głowę. W tym czasie weszła i stała we drzwiach jego córka, Anielka, która przyniosła ojcu śniadanie. Narobiła wrzasku, rozpłakała się. Wtedy zauważyłem, że jest śliczna. Spodobała mi się. Poszedłem z wiatraka, zostawiając konia z wozem. Po mąkę musiał pójść ojciec. Po paru dniach sam powiedziałem ojcu, że z Anielką Czajką mógłbym się ożenić. Poszły swaty i w zapusty odbyło się wesele. Przenieśliśmy się od razu do domu po Dulach.

### Epilog

Józef Osik, syn Henryka, spisał powyższą historię najprawdopodobniej zaraz po śmierci swojego ojca w 1976 r. Najlepiej ze wszystkich poznał dzieje losu i przeżycia Henryka, który za życia opowiadał swoim dzieciom i rodzinie o tym, co przeżył. Wszyscy chętnie słuchali jego opowieści o dalekich krajach, o życiu i zwyczajach innych narodów, o wojennych przygodach. Słuchacze wiedzieli też, że nie należy rozpowszechniać tej wiedzy. W tamtym czasie, w okresie PRL mogłoby to być nawet niebezpieczne. Tak więc dzieci Henryka nie chwaliły się życiorysem swojego taty, a zwłaszcza tym, że ich ojciec walczył przeciwko Rosjanom. Mogły słuchać i słuchały, zwłaszcza w długie, jesienne i zimowe wieczory. Tym,

który najlepiej poznał dzieje Henryka był właśnie jego syn – Józef. Pozostał on na gospodarstwie ojca i razem ze swoją żoną – Jadwigą oraz dziećmi wspólnie zamieszkiwali w jednym domu z Anielką i Henrykiem.

Henryk i Anielka na stałe osiedli w Talczyńcu. Do wybuchu II wojny światowej wiedli skromne, ale spokojne życie, poświęcając się pracy na roli i wychowywaniu dzieci. Na początku października 1939 r. w okolicy Kocka i Woli Gułowskiej rozgrywała się ostatnia bitwa kampanii wrześniowej. W bezpośrednim sąsiedztwie domu Osików rozlokowała się jedna z radiostacji Samodzielnej Grupy Operacyjnej gen. Franciszka Kleeberga. W wyniku ostrzału artyleryjskiego tej radiostacji przez Niemców zginęło kilku żołnierzy polskich, a kilku zostało rannych. Najstarsze dzieci Osików ewakuowały się do Górki Kockiej, do rodziców Anieli. Stąd widziały pałacy się kościół w Kocku.

Nikt z rodziny Osików nie ucierpiał w zbrodni na ludności cywilnej Talczyńcu, której dokonali Niemcy 26 września 1942 r. W odwecie za zastrzelenie jednego hitlerowca przez oddział partyzancki, batalion niemiecki otoczył wieś, zapędził mieszkańców do szkoły i rozstrzelał 78 osób, w tym wiele kobiet i kilkuletnich dzieci. Dzieciom Henryka i Anieli udało się parami przejść przez kordon niemiecki i przedostać się do Białobrzeg, do rodziców Henryka. Ciała zamordowanych mieszkańców Talczyńcu pochowane są we wspólnej mogile na cmentarzu parafialnym w Kocku, na lewo zaraz za bramą główną.

Pod koniec wojny, po zajęciu Lubelszczyzny przez wojska sowieckie, najstarszy syn Anieli i Henryka – Tade-

usz został wcielony do tworzonej tu II Armii Wojska Polskiego. Jako żołnierz 7 Dywizji Piechoty poszedł na front i walczył z Niemcami. II Armią WP dowodził gen. Karol Świerczewski. Jego alkoholizm i fatalne decyzje doprowadziły do ogromnych strat w czasie tzw. „operacji łużyckiej” w kwietniu 1945 r. Poległo wówczas ponad 18 tys. polskich żołnierzy. Wśród nich – Tadeusz. Z informacji, jakie uzyskałem ze Zgorzelca, wynika, że Tadeusz Osik zginął 21 kwietnia 1945 r. w miejscowości Teicha koło Rietschen. Miejsce pochówku jest nieznane.

Po wojnie Henryk Osik przez władze komunistyczne uważany był za „kułaka”, gdyż posiadał dość duże gospodarstwo rolne (około 10 hektarów), w tym staw i sad. We wsi wszyscy znali jego legionową przeszłość. Przez sąsiadów i mieszkańców Talczyzna był szanowany za swoją uczciwość i pracowitość. Nie ukrywał swojego krytycznego stosunku do „władzy ludowej”. W 1950 r. został aresztowany. Bezpośrednim powodem zamknięcia w więzieniu było „zerwanie” zebrania wiejskiego”. W zebraniu uczestniczyli gospodarze z Talczyzna, sołtys (już wtedy należący do PZPR-u) oraz dwóch przedstawicieli władz powiatowych. Na zebraniu poruszane były m.in. sprawy przymusowych dostaw żywności oraz agitacja na rzecz wstępowania do „partii”. Według relacji, które zapamiętały jego dzieci, Henryk swoją wypowiedzią głośno przeciwstawił się przymusowemu oddawaniu mleka. Argumentował tym, że mleko jest potrzebne dzieciom (panowała w tym czasie gruźlica). Kiedy przedstawiciele władzy zaczęli namawiać chłopów do wstępowania do PZPR, to powiedział, że skoro na zebra-

niu potrzebują „partyjnych”, to niech zostaną tylko „partyjni”. Wstał, nałożył czapkę i wyszedł razem z Sewerynem Janaszem. Za nimi wyszli pozostali. Uwięziono go 3 listopada 1950 r. na Zamku w Lublinie. Kilka dni po aresztowaniu Henryka do obejścia Osików ciężarówką przyjechali jacyś mężczyźni z sołtysem i zabrali wszystko zboże – na chleb, na paszę i na przyszłoroczne zasiewy. Zbliżała się zima. Dla rodziny Osików najcięższa. Jan musiał ciężko zapracować na potrzebne zboże. Regina, która w tym czasie pracowała już jako nauczycielka, kontaktowała się z adwokatami w Lublinie, próbowała „wyciągnąć” ojca z więzienia. Kosztowało to wiele pieniędzy. Ze swojej pensji łożyła na utrzymanie rodziny. Sama nie dojadła, w wyniku czego zapadła na gruźlicę. Gdy Henryka uwolniono w Wielką Sobotę – 24 marca 1951 r., była już poważnie chora. Nie dało się jej uratować. Zmarła 7 czerwca 1951 r. Miała zaledwie 23 lata.

Opisując losy rodziny Henryka Osika, nie można pominąć tajemniczej i tragicznej historii jego najmłodszego brata – Józefa. W czasie wojny był on partyzantem, członkiem Batalionów Chłopskich lub Armii Krajowej. Zaraz po wojnie pracował jako nauczyciel w Białobrzegach. Nie wiadomo, czy funkcjonował w strukturach WiN. Gdy w 1947 r. komuniści ogłosili amnestię, nie posłuchał apeli „władzy ludowej” i nie ujawnił się. Najprawdopodobniej został przez kogoś zadenuncjowany. Próbuąc uniknąć aresztowania przez jakiś czas ukrywał się. Swoją żonę i dziecko odwiedzał czasami pod osłoną nocy. Wkrótce wszelki słuch o nim zaginął. Najprawdopodobniej dostał się w ręce UB, które w tamtym czasie

przeprowadzało wiele akcji przeciwko ukrywającym się w lesie działaczom podziemia antykomunistycznego. Do dziś nie wiadomo, gdzie został pojmany, gdzie i kiedy został zamordowany oraz gdzie spoczywają jego szczątki.

Grzegorz Oprawski  
grudzień 2010